ROK II. LUTY 1913. Nr. 2.

SPRAWA

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Floryańska 14, m. 22, II. p.

Kilka uwag o Piemoncie polskim.

Ciekawym jest fakt, iż żadne z istniejących obecnie stronnictw politycznych w zaborze austryackim nie jest zorganizowane na zasadzie takiego czy innego zasadniczego stosunku do Sprawy Polskiej jako całości, wyraźnie mówiąc żadne z nich w programie swego działania już nietylko na naczelnem, ale nawet na dalszem miejscu nie stawia realizowania postulatów politycznych narodu polskiego, jakkolwiek rozumianych i ujętych.

Zaznaczam tu wyraźnie, iż mówię o postulatach politycznych całego narodu polskiego, gdyż oczywiście walka o prawa narodowe w granicach państwa austryackiego słabiej lub silniej, umiejętnie, bądź bezradnie występuje w programach i działalności wszystkich grup politycznych.

Jedyną grupą reprezentującą pogląd na całość Sprawy Polskiej byli do niedawna stańczycy. I ci dzisiaj niezawsze celują w konsekwentnem ze swego programowego stanowiska ujmowaniu zagadnień polityki polskiej, zresztą ich myśl polityczna zarówno jak „ugodowców“ warszawskich, w założeniu swem była jeśli nie zupełnem negowaniem Sprawy Polskiej, jako zagadnienia politycznego i politycznie pomimo zaborów jednolitego, to w każdym razie zwężaniem Sprawy Polskiej bardzo daleko posuniętem.

Wegetuje w zaborze austryackim parę „niepodległościowych“ organizacyi, te jednak nie wszystkie nawet występują w charakterze partyi politycznych. Liczebnością swą nie stanowią żadnej siły, a myślą polityczną ubogie, żyją „dorobkiem“ odpowiednich grup politycznych zaboru rosyjskiego.

Patryotyzm w zaborze austryackim jest zjawiskiem powszechnem, tylko pod wpływem czynników, z których na pewne przynajmniej zwrócimy w dalszym ciągu uwagę, nabrał cech ze-

wnętrznych, jak się je komu nazwać podoba: formalistycznych, konstytucyjnych (!), urzędowych, czy cesarsko-królewskich. W kraju aptek, księgarni i „handelków" pod Białym Orłem, Poniatowskim, wiktuałów pod Sobieskim i damskiej bielizny pod Kościuszką, w kraju regularnie urządzanych nudnych, suchych obchodów i pochodów narodowych, patryotyzm jest na każdym kroku i przyznać trzeba bodajby na podstawie wyżej przytoczonych zjawisk, o ile powierzchowny, o tyle powszechny.

W zaborze austryackim nie łatwo znajdują posłuch różne kosmopolityczne doktryny i idee.

Poza zewnętrznym, formalnym patryotyzmem, kryje się jednak głębokie, acz nie zawsze dokładnie uświadomione przywiązanie do idei narodowej, przeto przy odpowiednio sprzyjających warunkach rozbudzony i uświadomiony patryotyzm, wsparty myślą polityczną, wybiegającą poza granice Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem i to nie koniecznie po linii kolejowej do Wiednia, mógłby na życiu przyszłem Polski bardzo korzystnie zaważyć.

Tymczasem jednak warunki składały się niepomyślnie, obecne przesilenie polityczne dopiero obudziło w pewnych przynajmniej sferach społeczeństwa dążność do czynnego współudziału w politycznem życiu Polski, gdzieniegdzie zaświtała nawet myśl o przodownictwie.

Zresztą z obliczeń wielu polityków, nietylko „galicyjskich", wynika, że zabór austryacki powinienby i mógł przy sprzyjających okolicznościach odegrać rolę Piemontu polskiego.

Należy zawczasu przyjrzeć się zarówno sile obecnej, jak i wartości wewnętrznej, decydującej o sile przyszłej tego Piemontu in spe.

* * *

Powróćmy do sprawy poruszonej na wstępie artykułu i przyjrzyjmy się działającym obecnie stronnictwom politycznym.

Słyszeć się daje dość często narzekania na rozbicie życia politycznego w zaborze austryackim, czego widomym dowodem jest tak wielka ilość stronnictw.

A jednak pomimo, idącej za ilością, różnorodności stronnictw politycznych, mają one wszystkie nieomal bez wyjątku tę wspólną cechę, iż służą przedewszystkiem i prawie wyłącznie interesom odpowiednich klas społecznych, nie troszcząc się jako całość o sprawy ogólno-narodowego znaczenia.

Oile w zaborze rosyjskim stronnictwa polityczne są zorganizowane przedewszystkiem na podstawie stosunku do polityki

niepodległościowej, w najgorszym razie na podstawie stosunku do jednego tylko z państw zaborczych t. j. Rosyi, oile więc w charakterze jakiegokolwiek stronnictwa, rzuca nam się w oczy przedewszystkiem i prawie wyłącznie jego polityczna działalność, a zagadnienia społeczne, ekonomiczne, kulturalne, są zostawione niemal wyłącznie inicyatywie jednostek, w najlepszym razie partya zachowuje sobie prawo kontroli, o tyle tu wprost odwrotnie od inteligentnego członka stronnictwa wymaga się tylko zgody na program i politykę ekonomiczną stronnictwa, nie pyta go się zato już nietylko o pogląd na całość Sprawy Polskiej, ale uznaniu jednostek pozostawia się stosunek do najogólniejszych, najprymitywniejszych zagadnień życia narodowego.

I dlatego można będąc konserwatystą, demokratą, ludowcem czy socyalistą, być jednocześnie tak samo dobrze obojętnym zupełnie na sprawy narodowe, jak „ugodowcem“ czystej krwi, jak i „niepodległościowcem“, czy rewolucyonistą narodowym. Pod wpływem sprawy ruskiej wyrobiła się we wschodniej części zaboru większa odporność narodowa, żywsze, głębsze i szczersze uczucie narodowe. To też stronnictwa tam działające, wysuwają na czoło swych zadań sprawy narodowe rozmaicie, zawsze jednak zbyt jednostronnie, ujęte.

Zjawisko to obejmuje różnorodne grupy od niepodległościowego odłamu ludowców, przez narodowych demokratów, aż do szlacheckiej „podolskiej“ konserwy.

* * *

Brak czynnego zainteresowania dla spraw politycznych ogólno-polskich, rezygnacya nawet z teoretycznego określenia stosunku do nich, dowodzi niedostatecznie wysokiego poziomu życia politycznego zaboru austryackiego.

Przyczyn na to złożyło się wiele. Przeważna część t. zw. Galicyi znajduje się od stu kilkudziesięciu lat pod rządami austryackimi i to bez przerwy, bez zmian jakie w początku XIX wieku przechodziło Królestwo Polskie i Ks. Poznańskie. Przyzwyczajenie więc do istniejącego układu stosunków odgrywa tu wielką i bodaj decydującą rolę.

Zresztą już w odległych stosunkowo czasach, bo w okresie wojen o Niepodległość, a więc kiedy to „przyzwyczajenie“ mniejszą odgrywało rolę, zabór austryacki nie przyjmował prawie bezpośredniego w tych wojnach udziału. W chwilach wielkich wstrząśnień na terenie Rzeczypospolitej zabór austryacki żył odbiciem słabem zaboru rosyjskiego.

Tak było w roku 1830, 1863, a nawet 1905.

W codziennem więc życiu stronnictwa polityczne, zorganizowane faktycznie jako frakcye wiedeńskiego parlamentu, w najlepszym razie jako „galicyjskie" grupy klasowe, nie sięgające myślą po za kordon, w chwilach „ciężkich doświadczeń" nasłuchiwanie co się dzieje w Warszawie i bądź łamanie rąk ze zgrozą, bądź bierne sympatyzowanie z czynem. Tutaj należy się uwaga, iż „przodowanie" związane jest raczej z Warszawą, niż zaborem rosyjskim, jako takim. Dowodzą tego dzieje porozbiorowe do 1815 roku.

Brak inteligencyi niezależnej, przysłowiowe ubóstwo zaboru oto druga nie mniej ważna przyczyna smutnego faktu.

Chwiejność polityki austryackiej zarówno państwowej na zewnątrz, jak i narodowościowej na wewnątrz, zmuszająca do ciągłego balansowania około każdego ministeryum, o ile oczywiście parlament wiedeński uznaje się za główny teren „narodowej" polityki nie pozwala, a przynajmniej utrudnia znacznie poprowadzenie śmiałej, konsekwentnej, bodajby zaborczej, dzielnicowej polityki polskiej. Przyłącza się wewnętrzna sprawa zaboru, sprawa ruska niezałatwiona i niezałatwiana nawet, bo... to nie od nas zależy, a od Wiednia. Straszak podziału Galicyi na dwie części zamyka usta „najśmielszym" i dobija naszą mizerną politykę.

Już nie mówiąc o przyłączeniu Śląska Cieszyńskiego do Galicyi, Koło Polskie zrzeka się prawie zupełnie poparcia Sprawy Polskiej na Śląsku.



W obecnem przesileniu politycznem zdeklarowały się jako niepodległościowe grupy polityczne, w których działalności dotychczasowej, a nawet założeniach ideowych trudnoby się dopatrzeć cienia niepodległościowego charakteru. N. p. Demokraci i Ludowcy.

Zaufanie do Austryi, oparte nie na świadomości politycznej, a na przyzwyczajeniu do tego, że „nami" rządzi Wiedeń, najzwyczajniejsza ugoda wobec bezpośredniego władcy była czynnikiem bardzo pomocnym w zwrocie wielu grup ku „Niepodległości".

Oporne trzymanie się Demokracyi Narodowej, żądającej „gwarancyi", nie dowodzi bynajmniej jej krytycznego stosunku do państwa. Pochodzi ono z tego, że ci, którzy przywykli do ugody względem Rosyi (Dmowski et. comp.) mają silny wpływ na swój galicyjski odpowiednik.

Ugoda wobec Rosyi zwyciężyła w Dem. Nar. ugodę wobec Austryi, może tylko dlatego, że miała dzielniejszych obrońców.

* * *

Czy zaborowi austryackiemu będzie sądzone odegrać rolę Piemontu polskiego niewiadomo, ale to wiadomo, że bez względu na przewidywania jakimi etapami dojdziemy do Niepodległości narodowej, zabór austryacki żywszą, silniejszą rolę w życiu politycznem polskiem odgrywać powinien.

I dla tego postulaty polskie, traktowane oczywiście jako „etapy", powinny być wyraźnie postawione i powinny znaleść energicznych obrońców. Wykształcenie polityczne i patryotyzm czynny, wiele pod austryackim zaborem uczynić byłyby w stanie.

Trzeba tylko wytworzyć odpowiednie warunki dla budzenia uczuć i kształcenia zdolności.

Trzeba postulaty takie, jak przyłączenie Śląska i wyodrębnienie Galicyi uczynić żywotnymi w pojęciach narodu i... tych, z którymi zawiera się ugodę.

Polityka zaboru austryackiego powinna zwrócić oczy do środka Polski, do całości Sprawy Polskiej.

Ci, którzy polityką „narodową" kierują, pamiętać muszą o tem, że tylko bezwzględna walka o prawa narodowe najszerzej pojęte i ujęte, prowadzona pod każdym zaborem, może być odpowiedniem podłożem dla przygotowania i poprowadzenia wspólnej walki o Niepodległość Polski.

Kraków. *K. W.*



Skarb Narodowy Polski.

Niedawno, bo pół roku temu na zamku w Rapperswilu rozegrał się epilog smutnej Sprawy Muzealnej. Po dwu latach walki, w której padały zarzuty podstępnego przywłaszczenia sobie własności muzealnej — opinia niezależna zwyciężyła i dziś możemy powiedzieć, że przyszłość Muzeum jest zapewniona. Ale z Rapperswilem — z ludźmi, którzy w taki zacięty sposób opowiadali się przeciw reformom w Muzeum, którzy zgadzali się na zniesienie tej placówki Polski Niezależnej — przez przeniesienie jej do Lwowa — związaną jest druga instytucya, o której teraz głucho w Polsce, o której świadomie milczą jej opiekuni, a o której zapomnieli ci, którzy nią się opiekować i rządzić winni. Te słów parę przypomnienia obowiązków naszych chcę tu rzucić, ale nim zacznę omawiać stan obecny Skarbu Narodowego — muszę słów parę powiedzieć o jego przeszłości i jego charakterze, bo tam przyczyn upadku jego dzisiejszego szukać należy.

I.

Skarb Narodowy, założony z inicyatywy wychodźców z roku 1863, na czele których stanął żyjący dziś jeszcze pułkownik Miłkowski, przy pomocy całej emigracyi — a w szczególności dzięki zapisowi L. Michalskiego, miał zadanie, jak mówi pierwsze jego sprawozdanie — potrójne:

„Początkowo, jako pierwsze niemal zbiorowe przedsięwzięcie o charakterze ogólno-narodowym, a zarazem wyraźnie politycznym, Skarb był niejako sam w sobie celem i stanął wobec potrójnego zadania. Naprzód miał on na widoku elementarne zadanie, właściwe wszelkim początkom: gromadzić ludzi około praktycznego celu, ułatwiać im porozumiewanie się, budzić te sfery, które, oprócz dobrych chęci nic z siebie wydobyć nie były w stanie. Powtóre — Skarbowi z natury rzeczy przypadło w udziale szczepić śród społeczeństwa poczucie obywatelskich obowiązków, przyzwyczajać ogół do ofiarności świadomej, a wyraźnej, nie zamaskowanej zabawą, nie pokrytej tajemnicą poszczególnych celów — słowem: wdrażać stopniowo szerokie koła do opłacania narodowego podatku. Nakoniec rze-

czywistą racyą bytu Skarbu było założenie ogniska materyalnych zasobów i podniesienie go do tej wysokości, aby mogło dostarczać stałego zasiłku na potrzeby prac narodowych. Kiedyś, gdy te potrzeby nagle wzrosną, gdy ofiarność podniesie się na wyżyny jednego wielkiego celu, Skarb Narodowy jedynie może koncentrować wpływy, ustrzedz od niebezpiecznego zamętu, dając zawczasu moralną i materyalną gwarancyę, że fundusze zostaną zużytkowane zgodnie z ogólnym planem akcyi politycznej, że bezpieczeństwo ich będzie zupełnem, a odpowiedzialność jawną". (Spraw. I. z 1893 str. 9—10).

W tem samem sprawozdaniu, walcząc z argumentami ugody, która w owym czasie zabić chciała wszelką inicyatywę niepodległościową (nic nowego niema pod słońcem — mogą powiedzieć dzisiejsi niepodległościowcy) Kom. Nadzorcza opowiada o tworzeniu się skarbów poszczególnych, wreszcie o zabezpieczeniu funduszów skarbowych, składanych w Muzeum Narodowem. Już w pierwszem sprawozdaniu mówi się wyraźnie, iż „na 45000 fr. zaledwie 2.600 fr. wpłynęło z kraju" str. 16. Ta nuta emigracyjna, ten pewien żal — słuszny zresztą — do kraju, w historyi skarbu ciągle się przewija, i dziś jeszcze ma głębokie znaczenie.

W sprawozdaniu III. z roku 1896 znajdujemy wiadomość o połączeniu się skarbu amerykańskiego ze skarbem Rapperswilskim. W sprawozdaniu IV. z roku 1897 znajdujemy pierwszą asygnatę na rzecz Ligi Narodowej, która odtąd do lat ostatnich ciągle figuruje.

W roku 1900 — Kom. Nadzorcza „przyznała fundusz rozporządzalny fr. 4314·14 organizacyi krajowej z wyrażeniem życzenia, aby fundusz ten był użyty na najważniejszą obecnie pracę organizacyi, to jest na oświatę polityczną ludu" (str. 11 spraw. VII. z 1900 r.).

Już w roku 1901 Liga Narodowa występuje pod swoją firmą.

W sprawozdaniu z roku 1902 znajdujemy obszerną motywacyę, dzięki której dawano zapomogi L. N. — mimo jej może zbytniej rozległości przytoczę ją tutaj — jako niezmiernie charakterystyczną i, jeżeli chodzi o czyny następne K. N., dziwnie niekonsekwentną:

„— Czemu Lidze, nie zaś innej organizacyi patryotycznej, na jakich, Bogu dzięki, w Polsce nie brak... — słyszeć się i czytać daje zapytanie.

K. N. zamiast odpowiedzi wskazaćby mogła Ustawy Skarbu Nar. § 22, przeznaczający fundusz rozporządzalny dla organizacyi „zajmującej w życiu politycznem narodu stanowisko podobne do organizacyi Komitetu Centralnego w 1862 r.“. Pytanie to atoli zawiera w sobie na całkowite zasługującą uznanie troskę o dobro publiczne, zobowiązującą Komisyę Nadzorczą do dania odpowiedzi bardziej szczegółowej — szczegółowej o tyle, o ile zezwalają na to wymogi ostrożności, do jakich polityczne w Polsce organizacye, te zwłaszcza, co Niepodległość Ojczyzny na celu mają, stosować się muszą. Organizacyi, pod znakiem mniej lub więcej wyraźnym Niepodległości Polski, nie brak w kraju naszym. Najsympatyczniejszemi śród nich i najpożyteczniejszemi są te, co oświatę i uświadomienie w duchu patryotycznym szerzą i szczepią (Towarzystwa oświaty, Tow. szkoły ludowej, czytelnie, uniwersytety ruchome, związki sokole i t. p.). Na uwagę zasługują jeszcze i takie, które w programach swoich Niepodległość Polski zaznaczają warunkowo. Rozważmy jedne i drugie. Oświata, sama w sobie i sama dla siebie celem będąca, wobec zadań politycznych i społecznych środkiem jest, środkiem, który zaborce Ojczyzny naszej na jej szkodę, a na własną korzyść wyzyskać usiłują, o który przeto celowość polityczna polska walczyć z nimi musi. Szkółki, oraz średnie i wyższe w zaborach szkoły z pewnością by daleko już naprzód wynarodowienie narodu polskiego posunęły, gdyby nad niemi nie czuwała „obroną czynną“ kierująca i wlewaną w umysły i serca dzieci i rodziców polskich truciznę zobojętniająca zabiegliwość patryotyczna. Obok oświaty, jako środka wobec celu Niepodległości Polski, cel ów ma do czynienia z organizacyami, stawiającemi warunki uzależniające udział ich w podążaniu ku Niepodległości. Warunki te z dwóch źródeł, z dwóch wypływają doktryn: z religijnych i ze społecznych, nacechowanych pierwsze mistycyzmem, drugie utylitaryzmem. Z warunkami ściśle, jako ich następstwo konieczne, wiążą się targi.

W epoce panowania w Europie nastroju mistycznego, wynikające z warunków religijnych targi krwawe sprowadzały wojny. Po przesileniu się nastroju, wojny zmieniły charakter, posługując się orężem duchowym i działając na polu rezygnacyi, zamykającej ideę ojczyzny w dziedzinie życzeń pobożnych. Warunki społeczne są wynikiem stosunku pracy do kapitału. Spowodowują one ruchy rewolucyjne, odnoszące się do kwestyi ekonomicznych, rozstrzyganych przez władze odpowiednie — prawodawcze w większości konstytucyjnych państw europejskich, ukazodawcze w Turcyi i Rosyi. Warunki z tego pochodzące źró-

dła od władz państwowych zależąc, a praw państwowych nie naruszając, niewłaściwą wobec narodów bytu państwowego pozbawionych, a nawet szkodliwą odgrywują rolę.

Wobec obcej władzy państwowej, polityczne narodów w niewoli sprawy pierwszeństwa społecznym ustępują sprawom. Dowodów na to daleko szukać nie trzeba. Carat, któryby się na wyzwolenie Polski w żadnym nie zgodził razie, interesy swoje z kwestyami społecznemi godzić może i umie, jak na korzyść własną uwolnienie i uwłaszczenie włościan wyzyskał, tak w razie potrzeby wyzyskać nie omieszka postulatów klasy robotniczej takich, jak robota ośmiogodzinna, procentowe płac podniesienie, emerytura i t. p. Samo postulatów tych z politycznymi Polski interesami kojarzenie Sprawę Polską obniża i w dal niedostrzegalną ją usuwa.

Czuwanie nad tem, ażeby oświecanie narodu na błędne nie zeszło ścieżki, ostrzeganie przed opartymi na warunkach kierunkami, Sprawę Polską podkopującymi: są to potrzeby, wymagające organizacyi, od żadnej klasy społecznej, żadnej warstwy, żadnej kasty, od żadnego stanu, żadnego wyznania, żadnej doktryny nie zależnej, lecz narodowej, czysto o podłożu ludowem demokratycznej, drogą prostą, bez stawiania warunków, ku jasno i wyraźnie wytkniętemu celowi — Niepodległości Polski — podążającej.

W tym duchu, tą drogą polityczną kroczy — „L. N. Polska“.

Cytujemy to, gdyż jest ten ustęp odpowiedzią na silne w owym czasie ataki przeciwników L. N. na władze skarbowe. Zresztą da nam to charakterystykę instytucyi i umożliwi zarysowanie naszego stanowiska. W sprawozdaniu z roku 1903 znajdujemy energiczną odprawę przeciwnikom, jakoteż obszerne ujęcie historyi Sk. Nar., nic jednak tak charakterystycznego dla instytucyi, jak ustęp powyższy. W roku 1904 Skarb Narodowy przechodzi reformę statutu, umacniającą władzę K. N., jakoteż jeszcze bardziej (na skutek interpretacyi, dawanej przez „Przegląd Wszechpolski“) zaciemniającą cel właściwy — stworzenie ośrodka irredenty polskiej. W roku 1906 L. N. podejmuje $^{1}/_{10}$ kapitału i... zużywa je na wybory do 1-szej Dumy. Na tym niezbyt wesołym fakcie kończą się drukowane sprawozdania Sk. Nar. Gdy dodamy do tego sprzeczne z ustawą wstrzymanie wydawania sprawozdań, absolutną niechęć do akcyi na rzecz Skarbu, będziemy mieli historyę jego w najważniejszych momentach.

Powstaje on, jako instytucya bojowo-organiczna, potrzebna na wypadek czynu większej wagi, pomagająca pracy dnia dzisiejszego, dostaje się w ręce ludzi, którzy od ogólno-narodo-

wego do ściśle partyjnego zeszli stanowiska — dziś jest w upadku. Gdzie przyczyny? Na pytanie to odpowiedzieć musimy.

II.

Myśl stworzenia Skarbu dla narodu nieistniejącego politycznie jest nową. Były podobne usiłowania, ale zawsze kasy takie stawały się kasami partyjnemi. Pójdę dalej jeszcze: nie mamy przykładu działania przez dłuższy przeciąg czasu organizacyi wspólnych dla ludzi różnych przekonań politycznych u narodów podbitych. We Włoszech — Mazzini działał wraz ze swymi na swoją rękę, Cavour — na swoją, Garibaldi jeden umiał swe republikańskie przekonania złożyć na ołtarzu dobra ogólnego i walczyć za króla Włoch Zjednoczonych. Tłómaczy się to niewykształceniem jeszcze w duszach jednostek zdrowego poczucia narodowego, tłómaczy się tem, iż dziś jeszcze „naród" to pojęcie raczej, idea, aniżeli fakt życiowy, że wreszcie tę ideę używa się i nadużywa w życiu. Gdy miano interesu narodowego jest nadawane interesom warstw poszczególnych, gdy uprawia się wprost szantaże polityczne pod pokrywką interesu narodowego — niema mowy o jedności narodowej, dobrze zrozumianej. I trudność istnienia instytucyi skarbowej właśnie na umiejętności ujęcia interesu narodowego polega. Losy Skarbu Narodowego dowodem doskonałym być mogą: przy założeniu jego zeszła się cała ówczesna irredenta polska — zeszli się socyaliści-narodowi i narodowcy; powstał on równocześnie z organizacyą polityczną — Ligą Polską — która skupiała wszystkie siły żywotne narodu naszego, nie chcące rezygnować z jego mocy i zadań historycznych. Ale prąd irredentystyczny rozbił się, zmienił się na dwa prądy — narodowy i socyalistyczny. I odrazu minęły czasy zgody; o Skarb zaczęła się walka. Prąd socyalistyczny, przeszedłszy przez czyściec doktryneryzmu międzynarodowego, dziś dopiero wchodzi odrodzony do irredenty polskiej, prąd narodowy załamał się na pracy organicznej. W samym już zawiązku ruchu zbyt wiele nacisku kładziono na tę pracę, zbyt mało zdawano sobie sprawę, iż w owych warunkach zawczas jeszcze na politykę niepodległościową — iż zadaniem organizacyi niepodległościowej nie było ujawnianie się, by po rząd w narodzie sięgać, ale właśnie konspiracyjna praca — przechowywanie tradycyi walki — uczenie myślenia politycznego młodych — przygotowywanie dnia wielkiego.

Gdyby przekazano pracę zwykłą stronnictwu, gdyby L. N. zajęła się tylko wiązaniem najlepszych w narodzie, to, mimo wszystko, miałaby szanse odrodzenia. Ale nie tu tylko leżał błąd Ligowców — nietylko ze swej organizacyi uczynili tajny zarząd stronnictwa — a ze stronnictwa koła oświatowe — ale ze Skarbu Narodowego uczynili Skarb pomocy organicznej pracy. Mimo całej ważności pracy oświatowej nie wolno było na nią brać zapomóg, bo była to praca zwykła, praca, którą wiele innych organizacyi prowadziło — i może z większym skutkiem — naprzykład T. S. L. w Galicyi. I gdy dawano na tę akcyę pieniądze, jakie prawo miano odmówić później na wybory? Żadnego. Konsekwencyą takiej ideologii skarbowej — jakiej dowody przytoczyliśmy w rozdziale poprzednim — były losy Skarbu Narodowego. Gdyby „interes narodowy“ był pojęciem ściśle określonem filozoficznie, gdyby nie powstawały na ten temat spory — możnaby wyosobnić pewne prace organiczne — będące rzeczywiście i w swem założeniu i wykonaniu ogólno narodowemi; tak, jak dzisiaj jest — niewolno tego czynić. Skarb Narodowy winien służyć jednej jedynie pracy — pracy czysto irredentystycznej — pracy wojskowej.

Z procentów jego winna powstać szkoła wojskowa polska, z procentów jego winny być wydawane stypendya wojskowe. Nawet na wybory pod hasłem autonomii poszczególnych zaborów niewolno tych pieniędzy ruszyć! Tej cechy bojowej Skarb nie miał i nie ma. Ludzie, którzy go w rękach swych trzymają, to ludzie, którzy z interesu narodowego sztandar wygodny dla siebie zrobili (w kraju), a emigracya — to przeważnie półpolacy choć lat temu 50 walczyli za wolność Polski. I niema mowy o reformie Skarbu.

Młodzież narodowa zajmowała się oddawna tą sprawą — chodziło jej o zmiany zasadnicze w Skarbie — drogą kompromisu nie dało się to uskutecznić. Dziś organizacye niepodległościowe winny rozpocząć energiczną walkę o Skarb Narodowy.

My ze swej strony winniśmy zdać sobie sprawę, iż z instytucyą tą łączą nas może tradycye, a raczej nasze marzenia, że jednakże — tak dzięki ludziom dziś kierującym, jak i założycielom Skarb Narodowy nie jest tem, co staraliśmy się w nim widzieć: skarbcem irredenty polskiej.

Liége. *Z. D.*

Literatura rehabilitacyi.

„Sztuka jest wolną stylizacyą duszy narodowej, swobodnem rozwijaniem jej motywów". (Wasilewski).

Jest więc wolną stylizacyą życia we wszech jego załamaniach i zagięciach, tam gdzie musi nie tylko prześlizgiwać się po powierzchni, ale i wejść w głąb, gdzie dociera do pierwiastków duchowych życia, stanowiących treść duszy zbiorowej.

Mówi do nas o życiu — kreśli kształt, jego formę zewnętrzną i zasób pomyśleń głębszych — w swym artyźmie stylizuje je i wygina.

Prawdą dla sztuki staje się każde piękno w swym przejawie.

Poprzez stworzone przez nią walory literackie spoglądamy. W jej objawieniu prawdę widzimy, jeśli potrafiła nas uniesieniem pociągnąć na szczyty artyzmu, który staje się prawdą przez piękno.

I ta jest droga przemawiania sztuki. Jeśli pozwoli życiu wejść w swe szranki, to przypinać mu musi skrzydeł husarskich moc, lub tęsknotę kwiatu, choćby szło tam, by roztrącać swym realizmem bożyszcza poetyckich wzniosłości.

Tai się w nas wszystkich pożądanie bohaterskiego gestu, ujawnienia tego, co przysypane gruzem codziennym jest tak różne, przypuszczalnie wielkie, wspaniałe, niedosiężne. Drży myślą, ku rozpętaniu biedz pragnącą, każde dzieło potrącające o głębię ducha narodu.

Narzucamy sądzenia i mety literackie życiu, narzucamy je przeszłości i bronić poczynamy zapamiętale. Za kłam poczytać gotowi jesteśmy wszelką prawdę, jeśli kłamstwo stało się własnością duchową, przeświadczeniem choćby nielicznych, ale w moc słowa i głębię uczucia zawarowanych.

I jeżeli wbrew nim podejdziemy i zdejmować pragniemy sztuczną osłonę, to nie, aby obnażyć koniecznie brud i rany piekące, które pod nią ukryte być mogą i brać z tego przekonanie o znikomej wartości wszystkiego ku wierzeniu podanego, i pesymizm rozczarowań, i smutek zwątpienia, ale by oprzeć się walorom sztucznym, umieć śmiało i bezwzględnie ocenić zasłon przejrzystych złudną nieprzenikliwość i, dotarłszy do prawdy życia, brać męską naukę dla przyszłych dni.

Bo nic co się staje, nie przychodzi napróżno.

Nietylko osad pozostawia, nietylko złudzenia rozwiewa, ale wykuwa też umiejętność doświadczoną, świadomą i pewną.

Niech to posłuży za wyjaśnienie, dlaczego dotknę literatury jak ją nazwałem „rehabilitującej".

Rok 1905 — przegranej niby-rewolucyi, zostawił po sobie piętno niezatarte w literaturze. Wniósł do niej wir sądzeń, poglądów, przypuszczeń, obrachowań, chęć żywą dociekania prawdy duchowej jego twórców, prawdy jego wrogów. Cała literatura tego czasu biła młotami potępienia w jednych lub w drugich, przepojona niechęcią i uwielbieniem, ekstazą i rozpaczą, twórczym rozmachem i uczuciem zatracenia sił.

Będę mówić tylko o jednej jej części: tej, której zadaniem stać się miało zobrazowanie postaci i myśli twórców ruchu, tej, która pragnęła przeniknąć, wczuć się w tętno owego życia, które ujawnione niespodzianie, na chwilę wychyliło twarz, zbrużdżoną rozmaitymi rysami i zasunęło się wgłąb, pozostawiając po sobie pustkę, którą należało wypełnić rozmaitością jego zobrazowań, aby pozostało żywe w świadomości ogólnej, tych nawet, którzy, wyjrzawszy zdala i lękliwie, nie mogli, a może nie chcieli istotnego wyglądu odtworzyć.

Nie zasłoniła się jeszcze senną patyną lat chwila niedawna. Stąd żywość w jej uwidacznianiu, stąd możność spojrzenia w jej prawdę żywą, możność zadania kłamu tam, gdzie należy.

Rok 1905 przyszedł od wschodu: od okrzyków zwycięskich: Banzaj i bohaterstwa zatopionych pontonów, przewinął się przez zawołania: ziemli i woli, i wszedł na ziemię drżącą z niecierpliwości, ziemię tak przepojoną krwią i spadkiem dziedziczności osutą, że zda się jednym odzewem winna była się zerwać.

Dziś nie czas jeszcze na kategoryczność sądu. To co się stało, stało się wysiłkiem jednostkowym, nie było i nie mogło być wypowiedzeniem całości. Niezrozumiane w poczęciu, takiemż pozostało przy umieraniu. Obco się rozlegały okrzyki i odzewy nie szły nawskróś przez dusze, rozpalając je zdolnością uniesień, sprawnością czynu. Nawet wobec dusz szczerze miłujących i zapalczywie pragnących nadejścia chwili wysiłku twórczego i walki.

I teraz stajemy wobec usiłowań rehabilitacyi. Przedmiot sam twórczości, jej temat, sprowadził na pole nie publicystyki społecznej, agitacyjnej, na to rehabilitujący byli zbyt artystami, lecz na pewien wspólny grunt ideowych usiłowań, na grunt pewnego uczucia zbiorowego, które stało się swojego rodzaju wiarą polityczną. Moc sugestywna tych dzieł poczęła działać, około ich przeświadczeń i wiary skupiły się dalsze, kręgi roztoczyły się szeroko — i tak rozpoczęła się praca rehabilitacyjna, wobec tych, którzy w dziełach powyższych stanowili ten żywioł wrogi, za-

przańczy, osądzony już na zasadzie właśnie tych przeświadczeń, dopiero co literacko w siebie i w innych wpojonych. To co się nie dokonywało po innych ruchach, a równie przegranych, choćby 31 roku, gdzie z ust najgorętszych padać poczęły najcięższe zarzuty przeszłości dedykowane, to tu dokonać się miało: gwałtowna, wrząca uniesieniem i krwią obrona, dokonana pod kątem innym, pod takim, pod którym widzenie przemówić miało żywiej i poruszyć więcej serc i umysłów. Nie stawało się to zawsze umyślnie, owszem w większości wypadków było mimowolne i bez ubocznych chęci, a uwarunkowane rzeczywistemi przekształceniami w umysłach przodownych, jak również czysto zewnętrznemi zmianami, jakie zaszły w całości życia narodowego.

* * *

Rok 63 był ostatnim czynem niecodziennym w społeczeństwie polskiem. Był wysileniem przypominającem o żywotności narodu, był aktem wiary, pieczętowanym krwią, złożonym idei wolnej Rzeczypospolitej. Ideologia roku 63 zatopiona w powodzi zimnych, rozważnych krytyk pozywityzmu, zatajona w rozwoju najwszechstronniejszem pracy organicznej, potępiona przez promotorów kultury i jednocześnie liberalizmu zachodnio-europejskiego, nie zanikała w zupełności. O ujęcie jej jako swojej, starał się z kolei każdy kierunek stający w poprzek powszechnemu zacieśnieniu horyzontu politycznego myślenia, każdy kierunek będący rewelacyą zapomnianych uczuć w narodzie. Sztandar przechodził z rąk do rąk. Podjął go w początku swego rozwoju kierunek wszechpolski, modyfikując i przystosowując jego psychologię romantyczną.

I w literaturze rehabilitującej rok 1905 widzimy usiłowania ujęcia tegoż sztandaru. Spadkobiercami mienią się krwawej ojców spuścizny. Czy tak było w istocie? Zdaje mi się, że nie. Rok 1905 nie wydobył, nie ujął, nie postawił Sprawy Polskiej. Wogóle nie umiał o niej myśleć jako o pełnem zagadnieniu politycznem, mającem szanse urzeczywistnienia, nie umiał skonkretyzować jako celu, dla którego dawałoby się życie. Pomijam już wrogie okrzyki na ulicach Warszawy, okrzyki, które sprawie rewolucyi zaszkodziły nierównie więcej, niż zdać sobie mogą z tego sprawę ci, którzy chcą je złożyć na karb wybryków niekarnego, bezrozumnego tłumu. Pomijam już działalność rozkładową niektórych grup politycznych, stojących po stronie rewolucyi, kładących na niej wydatne swe piętno, a będących zorganizowanym żywiołem wrogów polskości. Ale przecież nawet najbardziej narodowe

i patryotyczne odłamy z pośród rewolucyonistów nie zdobyły się na zakreślenie politycznego programu, który mógłby postawić w ich szeregach wszystkie szczerze niepodległościowe żywioły. A były chwile, kiedy tylko tego brakowało, tej jedynej iskry, by wzmódz ogień rewolucyi do niebywałych rozmiarów, rzuceniem szczerem jednego hasła: wolnej Polski.

Wspomnę na pochód narodowy z dnia 5 listopada w Warszawie.



Literatura poczęła od rehabilitacyi ludzi i czynu. Później przeszła do idei przewodniej, myśli kierowniczej, podłoża moralnego i haseł naczelnych.

Pod męskiem, zdecydowanem piórem Struga nabrały wszystkie postacie swoistego kolorytu, tężyzny charakteru. Wzięły w siebie tętno życia, prawdę odczucia. Wzięły w siebie zobrazowanie twardego, ofiarnego czynu. Strug posiada zbyt wiele odczucia artystycznej prawdy, by pójść za Żeromskim i jego szkołą najbliższą w stwarzaniu postaci niezłomnych, ludzi „kategorycznego imperatywu“, całkowitych zaprzańców własnego życia, nie składających w jedno życie i służbę powinną Sprawie, a szukających tej służby jako złożonej ofiary, z która zawsze w parze idzie znicestwienie całego własnego szczęścia i najbardziej wewnętrznego pędu do rozwinięcia wszechstronnego duszy. Strug wysunął ludzi żywych w których skłębi się nieraz z odczuciem powinności niewiara, refleksya, czasem rozpacz za utraconem. Na świat burżujstwa polskiego, które nie chciało widzieć nic poza swojem codziennem podwórkiem, wysunął „ludzi podziemnych“. I nie chodzi mi o treść, o hasła ich umiłowań, ale idzie mi o usiłowanie zerwania z typem cnotliwego społecznika, a dania obrazu żywego ludzi, o wartość czynu których można się spierać, ale dusze których należy podziwiać i kochać. Życie polskie zatajone, ukryte, zrzadka ukazuje się światu, usiłowanie odtworzenia tej Polski podziemi jest niezmiernie trudne. Strug rehabilitując ludzi, daleki jest od możności uczynienia tegoż w stosunku do czynu. Porozrywane cząstki pracy, wysiłków, które u nich widzimy, z trudem wielkim dałyby się złączyć w świadomą, pełną energii walkę. Brak upostaciowania celu sprawia, że poczynamy się gubić w tym chaosie wstępnych usiłowań. Musimy się domyślać jakiegoś logicznego powiązania, ale to pozostaje za tymi ludźmi, dla nich samych niewiadome i nieomal że nieodczuwane.

Aż czasem bierze obawa, czy nie dzieje się to wszystko siłą jakiegoś nałogu do pracy ukrytej, o celu nieistniejącym, beznadziejnie dalekim. I przestaje być dziwnem to tylko wtedy, gdy się zważy, że rzeczywiście rewolucya ta była miotaniem się bez umiejętności postawienia jasnego, otwartego, a będącego wynikiem wspólnych pożądań celu.

A Strug jest zbyt artystą, by świadomie to zjawisko do celów rehabilitacyi dociągać. Stąd ludzie ci posiadając dusze zapału i gorączki czynu, nie posiadają ducha wspólnego i możności wyjawienia go.

I czują, że stają się wzajem zazębionemi kółeczkami maszyny jakiejś, praca której i jej rezultaty są od nich dalekie. I musi im to nie wystarczać. Odczuwamy w nich żywiołową chęć zerwania raz z tem obracaniem się w wiecznem kole drobnych sprawek, by tam gdzieś jakaś bomba wybuchła, chęć pojawienia się raz przecie na kartach życia, choćby ogniem i krwią zapisanych. Czuje się, że to przytajenie podziemne „podziemnych ludzi“ musi być czasowe, że tętna ich serc wybijają wspólną gorączkową chęć odetchnięcia czystością, rzeźwością normalnego życia.

Musi człowiek czuć realne, dotykalne następstwa swojej pracy, musi widocznie karmić się celem swoim, by nie stał się tylko zazębionem kółeczkiem.

Strug jest odosobniony. Jest to jedyna w swoim rodzaju twórczość, daleka od szablonu i histeryi zachwyceń rewolucyjnych. Pisarz w całem znaczeniu tego słowa — męski.

* * *

Inny, pokrewny mu w zamierzeniach twórczych a biegunowo różny, jest Daniłowski.

Ten posiada grono satelitów pomniejszych, których jego charakterystyka już scharakteryzuje.

Jest to pisarz utrzymujący się stale na koturnach. Ckliwy liryzm każe mu stwarzać postacie, pokrewne (bez ironii) „niezłomnościom“ Rodziewiczówny. Niewyrównana kultura artystyczna każe uderzać w ton zewnętrznego uwielbienia i zachwytu.

Słusznie Irzykowski typy jego przyrównywuje do Sienkiewiczowskich. Ta sama chęć stworzenia rycerzyków ku podziwowi tłumu, ten sam witeziowy rozpęd i Bayardowskie „sans peur ni reproche“.

Blada matowość posępnych twarzy, krucze włosy, płomienne oczy i marmurowa postać, lub błękit oczu naiwnej wiary dziecięcej, falowanie włosów jasnych, wysmukłość ręki nerwo-

wej, oto cechy najbardziej swoiste postaci stworzonych przez niego i całą plejadę Brunonów Kosteckich, Savitri i t. d. Postawienie przed oczy czytelnika pretensyonalne, koturnowe piękna postaci, by na tem tle nierealnem rozgrywać Czyn i tem pięknem zewnętrznem hołd mu zdobywać.

I dlatego w częstą wędrówkę idzie Amor po duszach niezłomnych.

Przekonywuje nas jedna z poetek rewolucyi, że krzywią się tkliwe damy:

że wychodzimy z roli
pięknego bohatera...
En beau się nie umiera
w scenicznej aureoli...
Jeno tak ordynarnie
zgoła bez sentymentu...

Zdaje mi się, że się myli. Uczyniono wszystko by do rekwizytorni polskiego bohaterstwa obok kopii i szabel wnieść browning i bombę. Uczyniono wszystko, by udowodnić że typ bojowca nie ustępuje w niczem skrzydłom husarskim, ni rabatom ułańskim.

Umieranie więc odbywa się „en beau“, mimo usiłowań podkreślenia jego różnicy z gestem czy prawdziwością dawnego bohaterstwa.

Na zbyt wyniosłych wzgórzach nieprawdziwego, bezkrytycznie entuzyastycznego piękna nie daje się budować gmachu realnego. Ha, trudno, szarfy zobowiązują choćby do wiatraków.... I dlatego karty życia należy wypełnić nierealnymi, ale zato pełnemi uniesień czynami i kosztem prawdy artystycznej i życiowej na wyżynie się utrzymać. Twórczość Daniłowskiego jest na wskróś sentymentalną. I dlatego jego usiłowania rehabilitacyi ludzi i czynu pozostają bezskuteczne, bo ani ludzi, ani czynu realnych niema. Jest opowiastka fantastyczna którą można ze zmianą akcesoryi włożyć w każdą epokę.

Już manifest rewolucyjny o znamiennym rycerskim tytule: „Sen o szpadzie“ zapowiadał, że: „Tylko poezya polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy żołnierzu“, kładł podwaliny pod usiłowania nawiązania tych tradycyi, o których wspominałem, tradycyi walk wyzwoleńczych. Od prób nawiązania tych nici zaczyna się rehabilitacya naczelnych haseł, przewodniej idei ruchu. Sugestywna moc słowa zostaje rzucona na kartę. Bierze na siebie tę rolę Katerla. Wynosi z rewolucyi myśl polską, zagubioną w niej aż nadto widocznie, wynosi najistotniejsze pragnienia wyzwoleńcze

i w zbłękitnieniu czasu, w zatarciu zbyt wyraźnego oblicza narzucić ją pragnie wszemu ruchowi.

Rzadko znaleźć by można utwór, mający na celu idealizacyę pewną, któryby tej właśnie idealizacyi był tak jaskrawem zaprzeczeniem. Czemżeż staje się bowiem w ostatniej konsekwencyi całe działanie Czarowica, cała jego moc bojowa? Nie z niej wszak wychodzi ostateczne zwycięstwo. Jest ono produktem geniuszu samotnego, dumnego myśliciela i wynalazcy, czynem jednostkowym, odosobnionym, czynem przypadku, który mógłby przyjść bez wszystkiego, co jest pracą twórczą, walką i zwyciężaniem.

Czemżeż jest wypowiedzenie duszy polskiej — Czarowic, czem jest ten, który idąc „przez ziemię od karpackich gór do morza“ jest w stanie zasiać gąszcz bohaterstwa, jak młody las, który jest w stanie pracą swoją opasać kraj wytężonemi ramionami synów Polski nowej? Gdzie jego czyn?

Czy niesłuchana, nierozumiana mowa głodnego tłumu robotniczego, zadającego kłam jego usiłowaniom, przekonaniu, że walcząc dla Polski, walczą dla siebie?

Czy zachęcenie do niezapominania wzajemnych krzywd poszczególnych warstw narodu, do niezapomnienia nigdy, aby wypełnić prawo zemsty?

Czyż znów wszystkiem ma się stać ta szkółka dziecięca? Ależ to jest wbrew woli jego, potępiającej wszystko, co nie stawało się wtenczas czynem krwawym.

Widzimy momenty gromadzenia sił w nim, słyszymy słowa zapowiednie i to wszystko. Jedynym czynem jest to, co powstało nie z jego mocy, a stało się poza nim. W Czarowicu zebrała się cała bezpłodność usiłowań rewolucyjnych, cała karykatura deklamatorstwa. W dumie swojej trud cały na swoje jedynie barki przyjmując, nie czyni nic.

Niema w Róży nic tworzącego przyszły polski czyn, brak w niej zrozumienia, czem on być powinien, jaka jest jedyna droga jego stwarzania. A jeśli to zrozumienie się zjawia, to by utonąć w beznadziejności oczekiwania na cudowną moc wyzwoleńczą. Zaiste, niedaleko odszedł piewca czynu rewolucyjnego od mesyanicznych oczekiwań i nadziei.

Miecz rycerski Warneńczyka w złe poszedł ręce. Niemocne, bezczynne, deklamatorskie. I byłaby Róża musiała mimo usiłowań stanąć zdala od książek związanych chęcią rehabilitacyi. Ale jest w niej jeden moment szczytnego bohaterstwa, cudownie prosty. Są to słowa Osta. Męka prostego wierzącego człowieka,

który poszedł do walki o Polskę i z jej imienieniem na ustach skonał.

Dwie mamy ideologie w Róży, wbrew zamierzeniom autora. Czarowic i Oset stoją na ich biegunach. Niema w Czarowicu nic z tej siły duszy żołnierskiej, która u Osta stanowi honor życia.

Tylko, że okrzyk Osta nawet w tej rehabilitującej książce pozostaje odosobniony.

Róża zwraca się ostrzem przeciw wszystkim, którzy rewolucyi pozostali obcymi. Jakże łatwe są historyczne analogie. Podchorążowie i lud rewolucyjny twórczym duchem Mochnackiego wiedziony, a zdradziecko układni jenerałowie, Wielopolski i szatańska myśl branki, a czerwoni i t. d. i t. d.

Tylko, że analogie zawodzą. Nie wszystko, co do rewolucyi nie poszło było w Polsce plugawe i zaprzańcze. Nienawiść Róży kładzie im wszystkim na czołach stygmat podłości.

Hasło pod którem rewolucya w Róży idzie, nie było hasłem rzeczywiście istniejącem i spajającem ruch. Fałsz perspektywy rodzi fałsz oceny.

Bezpłodność ruchu dała tylko miarę, co w narodzie polskim może zbudzić uśpioną energię, co twórczy pierwiastek jego duszy zbiorowej może skierować ku zgodnemu wysiłkowi rąk.

Przeszły dni przemian różnych. Hasło obce rewolucyi, odosobnione w niej, ukryte i odnalezione czasem w pojedyńczym wykrzyku na stokach Cytadeli, stało się własnością powszechną. Ruch który na ziemiach polskich powstać może, pod niem jedynie zszeregowany być musi.

I tu dopiero tradycye polskiego żołnierza nawiązane być mogą. Jawnie wypowiedziane przekonanie Kopisia, jego dumne żądanie, by jako żołnierz nie ginął niesławnie na szubienicy, wyrastało ponad miarę ówczesną, było przeczuciem idących dni; oderwane nie zmienia wartości ideowej ówczesnego ruchu.

Ale w usiłowaniu całej rehabilitacyi dźwięczy szlachetna myśl odnalezienia czynu polskiego, mocy polskiej, nawet tam, gdzie ich nie było, chęć wpojenia przekonania, że dopóki stopa wroga ciąży na ziemi naszej o co innego walka, jak tylko o wyjarzmienie, toczyć się nie może. Całe porewolucyjne piśmiennictwo jest oparte na chęci wydobywania tego pierwiastka polskiego.

Szło ono równocześnie z faktycznem uwidacznianiem się w życiu aspiracyi wolnościowych, z rozszerzaniem się polityki Niepodległości.

I choć można mu czynić zarzuty o fałszywe spojrzenie wstecz, to usiłowanie jego, płynące z głębokiego przeświadczenia, musi znaleźć uznanie.

Tego, co zrehabilitowanem być nie może, literatura nie odmieni.

Idzie ona, bo iść musi za prądem życia, które coraz wyraźniej poczyna się kształtować na miarę usiłowań największych, zmierzających ku jedynemu celowi walki zwycięskiej.

Kraków. *K. L.*



Rok 1863 w powieściach Bolesławity.

II.

Już w „Sprawie Polskiej w 1861 r.“ dał Kraszewski wyraz swoim pojęciom o demonstracyach warszawskich, które poczęto organizować i naśladować w całym zresztą kraju. Widział on w tych demonstracyach wielką siłę moralną, którą chciał przeciwstawić kulom i bagnetom moskiewskim.

Ta siła moralna, której nikt nie myśli lekceważyć, jest faktycznie słabością, choćby wzniosłą i świętą, w porównaniu z siłą fizyczną. Na razie tego nie dojrzał nikt. Owszem, zaskoczono rząd temi demonstracyami, wywołały one chwilowe zamieszanie w pałacu namiestnikowskim — zdawało się, że jest to broń odpowiednia.

Tembardziej mógł tak przypuszczać Kraszewski, który zawsze ulegał nastrojowi ogółu.

I pierwszy z rzędu obrazek na tle powstania „Dziecię Starego Miasta“ jest właśnie gorączkowym i wiernym opisem tego nastroju.

Znać w tym obrazku Kraszewskiego, który wobec tego co porywa ogół staje się jakby bezsilnym, daje się porwać temu prądowi, jaki wszystkich ogarnął i idzie już po nowej linii, choć ta będzie biedz w przeciwnym nawet kierunku niż wytyczna „Sprawy Polskiej“. I tak będzie aż do czasu, kiedy ochłonie... Tymczasem zaś zapatrzony był Kraszewski w żywą, rozpłomieniającą się Warszawę.

Patrząc zaś, nie mógł nie dojrzeć tam młodzieży. Widział, iż wszystko się poczyna ruszać przez nią i dzięki niej. Zauważył był — i już pisał w „Sprawie Polskiej“ — że „dzieci, nieodrodne potomstwo męczenników, krzyknęli w imię ich: Ojczyzna żyje w nas“.

„Dziecię Starego Miasta“ jest historyą takiego dziecka na tle demonstrującej Warszawy i jej ówczesnego życia.

Franek, syn przekupki ze Starego Miasta, jest uczniem Szkoły Sztuk Pięknych... Należy on oczywiście do najrozmaitszych spisków, bo faktycznie wszyscy są sprzysiężeni. „Tu dzieci — mówi Franek — instynktem wskazują pochód narodowi, a naród idzie za dziećmi i sprawa się podnosi“...

Jest on odważnym i zdecydowanym na wszystko, bo widział jakby na jawie wszystkich tych skutych, pędzonych na Sybir, za to, że kraj kochali.

„I starców, siedzących nad grobami rozstrzelanych synów. I wdowy, płaczące pod szubienicami powieszonych mężów. I dzieci, rzucone na pastwę wychowania moskiewskiego za to, że sierotami zostały po wygnańcach".

Czuł i widział Franek wszystko, nawet „zbezczeszczone rozpustą katów bezdusznych niewiasty", nawet „opustoszałe kościoły, i poorane cmentarze, i porabowane świętości, i pouwożone pamiątki, pokoślawioną zbójeckiemi pióry historyę... i pozamykane usta, i pościskane żelaznemi okowy serca"...

Wszystko to wypełnia już kielich goryczy, na dnie którego leży rozpacz, chwytająca młode serca. „Nie ocalimy ojczyzny, bośmy sami słabi", ale we władzy naszej jest nie dać się spodlić. I rozmarzony, rozgorączkowany Franek woła: „W heroicznym porywie poświadczym dziejom, zapiszemy krwią, że mord i męczeństwo były tak straszne, iż się targnąć musieliśmy i chwycić gołemi rękami za wyostrzone miecze"...

Jest więc Franek typem straceńca z 63 r. i to, zdaje się, pierwszym w naszej literaturze i utworach Kraszewskiego. Matka Franka, stara Jędrzejowa, żona żołnierza ranionego w 31 r., nie zdaje sobie dokładnie sprawy z tego, na co się zanosi. Poznaje jednak po młodych, że się ma coś stać. Po trzydziestu latach martwego milczenia „duch jakiś wionął, odwaga, niecierpliwość". Nawet w starych piersiach Jędrzejowej inaczej jakoś serce kołacze.

Franka w domu przeważnie niema. Wpadnie tylko późną nocą, a wówczas opowie starej matce, jak to było na pogrzebie generałowej Sowińskiej. I dziwuje się Jędrzejowa, że na pogrzebie luterki całe miasto było. „Poszli oni tam dla jej cnoty, nie dla wiary" — szepce.

Nazajutrz zrywa się Franek wcześnie i spotyka gdzieś kochaną Annę. Rozpoczyna się rozmowa, lecz nie „o wiośnie, fiołku i sercu"... Czyż można o tem mówić — kiedy wszystkie twarze wokoło i szepty świadczą o nadciągającej burzy? Troska osiada na licu Anny: „Co się z nami stanie? czy podołamy wielkim obowiązkom? czy naród budzący się, jak Piotrowin, znajdzie całun swój biały, by się nim okryć, i niezbutwiałe członki, by się poruszyć"?

Żegna się Franek z Anną, a wieczorem znowu go w domu niema. W mieszkaniu przyjaciela, gdzieś na bocznej uliczce odbywa się zebranie młodzieży.

I tak naprzemian mamy cały szereg krótkich opisów, opowiadań, scen i obrazków, tyczących się bądź osobistych uczuć i stosunków Franka, bądź ogarniających to, co się wówczas w Warszawie działo, albo powiedzmy lepiej: jest to wszystko z sobą

w dziwnie zręczny sposób związane. Nas interesować będzie tylko to, co w „Dziecięciu Starego Miasta“ ma znaczenie ogólniejsze, resztę pominiemy z konieczności, choć przez to uszczuplamy niezmiernie treść obrazków współczesnych Bolesławity i nadajemy im charakter nieco jednostronny. W rzeczywistości tak nie jest.

Zresztą na tej jednostronności „Dziecię Starego Miasta“ straci jak najmniej. Jest to pierwszy obrazek Bolesławity i wszystkie prawie wypadki łącznie z nieszczęsną demonstracyą kwietniową mamy w nim zawarte.

Sprężyną tych wypadków byli młodzi spiskowi, jeżeli może być mowa o spisku tam, „gdzie otwierano okna, gadano głośno, nie strzeżono się ludzi“. Mamy opis takiego zebrania spiskujących o twarzach rozpalonych ogniem młodości. „Trwogą — mówi Kraszewski — mogli przejąć myślącego spostrzegacza i zdumieć poważniejszego człowieka“ tą właśnie młodością swoją, lecz słusznie też dodaje: „jakiż to musiał być stan kraju, co powołał, pomimo prześladowań najokrutniejszych, pomimo gróźb najstraszliwszych, ludzi w tym wieku, gdy się o życiu tylko myśli, na śmierć prawie pewną i nieuniknioną, byle się podźwignąć z upokorzenia“.

Wśród zebranych spiskowców jest i Franek, jest i drugi zapaleniec, występujący i w następnych powieściach, Młot, są i inni jeszcze. Nie brak również starszego sybiraka, który próbuje powstrzymać młodych. Wiarę ostudziły w nim zawody. Toczy się żywa i długa dyskusya, jakich jest wiele, zbyt nawet wiele we wszystkich powieściach Kraszewskiego z tego czasu.

Na ogół w zebranych tkwi gorąca wiara — jeśli nie w zupełny tryumf, to w każdym razie w konieczność żywego ruchu. Liczy się w tem zgromadzeniu na Europę, która może nie będzie bezduszną, liczy się na zgniłe cielsko Rosyi, które się może rozkładać właśnie zacznie: lud można zdobyć ziemią darowaną i wreszcie męczeńska walka jest apostolstwem, które wrogów nawróci.

Jak widzimy, mamy tu do czynienia z całym szeregiem przypuszczeń i przekonań, jakie krążyły przed wybuchem 63 r. — mamy ujawnioną w dyskusyi na tem zebraniu tę głęboką i zadziwiającą wiarę, jaka uskrzydlała dusze straceńców.

Wpadł też na zebranie O. Serafin, pełen wiary, energii i dowcipu. W sylwetce tej niema nic z satyrycznego zacięcia Kraszewskiego, które przedtem niejednokrotnie skrupiało się na księżach i zakonnikach.

O. Serafin radził postępować po bożemu (że poturbowano na cmentarzu kilku iwalidów moskiewskich — to oczywiście nie szkodzi). I zgodnie z tem, jak było w rzeczywistości, oświadczył

on na zebraniu: „Co się tyczy nas, powiem wam na ucho, ale na uszko: habity ubogiej braci, sutanny biednych wikaryuszów, wiejski kler będzie z ojczyzną i z wami i z ludem; co się tyczy tłuściuchnej naszej arystokracyi, wytuczonej na dobrych prebendach, rozpartej w stalach kanonicznych, reverendissimusów, uczonych teologów, którzy się za granicą na kosmopolitów pod pozorem ortodoksyi kształcili, a od wszelkiej swobody ducha uciekają, jak dyabeł od święconej wody... na tych lepiej nie rachować".

Słowa, które wypowiada O. Serafin były zapewne i przekonaniem autora „Dziecięcia Starego Miasta". Kraszewski nie zawsze przemawia do nas bezpośrednio, ale, znając poglądy i przekonania jego, odczuwamy, że to on właściwie przez tę lub inną postać mówi. Tak jest np. w „Żydzie", gdzie słowa Jakóba są niejednokrotnie wyrazem pojęć samego autora tej ciekawej powieści. Mamy jednak w rozpatrywanych przez nas utworach Kraszewskiego krótsze i dłuższe opowiadania samego autora i może najwięcej spotykamy ich w „Dziecięciu Starego Miasta". Zresztą, czy można nazwać opowiadaniami w znaczeniu literackiem coś w rodzaju publicystycznych artykułów, albo zgoła dziennikarskich sprawozdań o tem, co się działo na ulicy, choćby nawet zdradzały one literackie zdolności autora?

Opowiadając o tem, co się działo w kraju przez ten przeciąg czasu, jaki upłynął od pogrzebu Sowińskiej do manifestacyi z dnia 29 listopada widzi Bolesławita dwa obozy stojące naprzeciw siebie.

Jeden stanowi szlachta, przywódcy inteligencyi i średnia klasa wzbogaconych. Ci naśladowali „europejski obyczaj" i chcieli wymódz opozycyą na Rosyi ustępstwa, „któreby dały siłę do dalszego — nieokreślonego działania... kiedyś... jakoś — przy pomyślniejszych okolicznościach" (a Kraszewski?). I z przekąsem dodaje autor „Dziecięcia Starego Miasta", w którym odezwał się polemista o satyrycznej żyłce: „Panowie ci, którym w gruncie brakło odwagi i idei, chcieli dojutrkowstwem zastąpić plan roboty i utrzymać się w granicach legalnych — w kraju, w którym prawa nie było żadnego, ani takiego, do któregoby się mógł odwołać uciśniony, ani poza które nie śmiałby przejść ciemiężca". „Byli to wszystko uczeni, praktyczni, a zastygli mężowie, po większej części bez przednich zębów, podłysieli, trochę otyli i dosyć majętni"...

Stanowili oni większość na czele której stał Komitet Towarzystwa Rolniczego.

Drugi obóz — to młodzież, której przypatrzyliśmy się na znanem nam już zebraniu. Poznaliśmy jej wiarę z dyskusyi, jaka na tem zgromadzeniu się toczyła. Była to optymistyczna wiara

we wszystkie możliwe okoliczności i szczęśliwe sposobności, jakie Polskiej Sprawie wówczas pomódz mogły.

Na razie obala Bolesławita wiarę w rewolucyę rosyjską, równoczesną z polskiem powstaniem.

Zdanie swoje popiera twierdzeniem, które w późniejszych „obrazkach współczesnych" niejednokrotnie innemi słowy powtórzy: „.... dla Moskali najjaśniejszy pan jaśniejszy nad wszelkie prawo i swobody. Najliberalniejsi z nich nie umieją wyjść na linię z wybitej drogi, a spojrzenie na wizerunek najjaśniejszego pana przeraża ich, jak wyrzut sumienia". Tkwi w tem twierdzeniu znajomość psychologii narodu rosyjskiego, lecz prawdą w całej swej rozciągłości nigdy ono nie było.

Niejednego z czytelników zastanowi prawdopodobnie stosunek Kraszewskiego do Towarzystwa Rolniczego. I faktycznie jest on bardzo ciekawym, bo przecież Kraszewski obracał się zawsze wśród sfer szlacheckich, a nawet arystokratycznych. Skąd więc taka bezwzględna krytyka?

Wytłomaczyć ją można przedewszystkiem wpływem otoczenia. Kraszewski bezsprzecznie wyrastał zawsze ponad poziom umysłowy szlachty, ale nie znosił on nigdy jaskrawych przeciwieństw i kolizyi z otoczeniem. Owszem, mówiliśmy już o tem, Kraszewski zbliżał się do otoczenia, asymilował się z niem, a zasługą już jego wielkiego talentu było, że powieściopisarz nasz zajmował wszędzie pierwszorzędne stanowisko.

Tak było ze współpracownictwem w „Tygodniku Petersburskim", który od 1830 r. przez lat kilkanaście był najwięcej wpływowem pismem na Litwie i Rusi.

Kilkoma artykułami zajmuje sobie tam Kraszewski trwałe stanowisko i poznaje się z takimi ludźmi, jak Michał Grabowski, ks. Hołowiński, Henryk Rzewuski i inni, którzy stanowili grupę klerykalno-arystokratyczną.

Zbliżenie się to było nie bez wpływów na poglądy Kraszewskiego i kto wie, może skończyłoby się na tem, że stałby się on zdecydowanym i najbardziej utalentowanym sprzymierzeńcem tej partyi, gdyby nie to, że Rzewuski i Grabowski poczęli się kompromitować w opinii społeczeństwa: pierwszy takim utworem, jak „Mieszaniny Jarosza Bejły", a drugi — poglądami panslawistycznymi. Wystarczyło to, aby Kraszewski odsunął się od filarów „Tygodnika Petersburskiego".

Był jednak Kraszewski jeszcze tego przekonania, że szlachta jest nietylko przodującą klasą, lecz i przedstawicielką postępu, a jej osłabienie byłoby nieszczęściem dla kraju, i kiedy przeniósł, się do Żytomierza, został wybrany przez szlachtę wołyńską dwu-

krotnie na kuratora szkół (w r. 1853 i 1856) i został też prezesem klubu szlacheckiego.

Z chwilą jednak przeniesienia się do Warszawy, wpadł Kraszewski w inną atmosferę i inne stosunki, niż te, w jakich przebywał w „okresie wołyńskim“ swojej twórczości.

Objąwszy redakcyę „Gazety Codziennej“, zamienionej później na „Gazetę Polską“, stał się gorącym i zdecydowanym zwolennikiem uwłaszczenia włościan i równouprawnienia żydów.

Postępowa i demokratyczna Warszawa zyskała w nim najwybitniejszego współpracownika.

Oczywiście, że silnie zadzierzgnięte dawniej stosunki ze szlachtą rozluźniły się.

Niejednokrotnie otrzymywał Kraszewski propozycye od złośliwej szlachty przysyłania redagowanej przez siebie gazety.... pachciarzom. Narzekał też nieraz na całe stosy anonimów, jakie mu ze wszech stron przysyłano.

Ale w powszechnem podnieceniu parto wówczas do zbratania klas i wyznań i Kraszewski, płynący za prądem, pisał: „Stany i powołania są nieodłącznym od wszelkiego bytu fenomenem, ale stanów nie powinien dzielić przywilej, praca i zasługa wszędzie prowadzić powinny, nikt nie ma prawa oddzielać się i wyłączać ani dostatkiem ani rodem“. (Nr. 87, 1861).

Te słowa pisał on, wierząc w nie mocno, a nie stojąc w Warszawie zbyt blizko szlachty, nie widział racyi istnienia w tym czasie Towarzystwa Rolniczego, choć powinien się był zastanowić, czy nie ono jest powołane najwięcej do wypełnienia tego właśnie programu uwłaszczenia włościan i pracy oświatowej nad nimi, jaki nakreślił w swej „Sprawie Polskiej w 1861 r.“.

Dla Kraszewskiego Towarzystwo Rolnicze spełniło już wszystko, odegrało już swoją rolę.

Prawda, pisał on w Nrze 1. „Gazety Codziennej“ z 1860 r., że „najgłówniejszym, największego znaczenia dla rolniczego kraju faktem jest szczęśliwy rozwój i wpływ przeważny Towarzystwa Rolniczego, którego błogie skutki już się dzisiaj czuć dają“ — pisał — iż „rok ten (t. j. 1859) dał nam już skutki dotykalne wszczepionych przez Towarzystwo pojęć o potrzebie pracy, nauki, zajęcia ulepszeniem gospodarstwa, przemysłem i handlem“. Twierdził nawet, że „współczucie, jakie Towarzystwo znalazło wszędzie...., zapewnia tej instytucyi rozwinienie się dalsze z wzrastającą siłą“, to jednak w „Dziecięciu Starego Miasta“ uznawał, że Towarzystwo Rolnicze do „żywszego działania nie miało ani ochoty ani siły, trzeba je było już ciągnąć i popychać“. Towarzystwo Rolnicze zbytnio lekceważyło to, co stanowiło serce

narodu i stolicy: czerwonych i ulicę. Zarzuca Kraszewski komitetowi Towarzystwa zbytnią ostrożność, ujawniającą się w odkładaniu śmielszych projektów „na jutro... jutro myśląc się rozjechać".

Stolica rozumiała jednak dobrze Towarzystwo Rolnicze i po cichu przygotowywała się manifestacya, która miała zmusić komitet do jakiegoś czynniejszego i bardziej stanowczego wystąpienia.

W „Dziecięciu Starego Miasta" mamy opisy prawie wszystkich pierwszych, większych manifestacyi. Franek np. opowiadał matce o tem, co się działo na pogrzebie Sowińskiej z wielką drobiazgowością, nazywając nawet ulice, przez które przechodził kondukt żałobny.

Manifestacyę zaś na Starem Mieście, planowaną dla poruszenia komitetu Towarzystwa Rolniczego opisuje już sam autor, ze spokojem i powagą. Nie będziemy przytaczać opisu tej manifestacyi.

„Trwało to wszystko nie długo, ale obraz był przerażający,.. głuche jęki z jednej, przekleństwa z drugiej strony; policya usiłująca chwytać, żandarmi miotający się na wszelkie strony... na bruku niedogasłe ułamki dymiących pochodni, połamane chorągiewki, kilku ludzi stratowanych, kilka kobiet rannych, kamienie, skorupy, polana..."

Wśród rannych był i Franek, którego ukryto w jakiejś izdebce, w obawie przed policyą, przetrząsającą wszystkie domy na Starem Mieście. Nawiedzali go tam matka, Anna, przyjaciele — zachowujący przytem wszelkie środki ostrożności.

We dwa dni po manifestacyi na Starem Mieście — do majaczącego w gorączce Franka poczęły dolatywać z ulicy jakieś gwary, krzyki... Przyjaciel jego, Młot, wspominał mu coś o nowej manifestacyi i, „nie mogąc rozpoznać nic, dziecko Starego Miasta poczuło serce, bijące w łonie, domyśliło się stanowczej godziny". I kiedy usłyszał Franek rozlegający się zblizka bolesny krzyk tłumów, zwlókł się z łóżka — ruszył na ulicę. Tutaj zaś rozgrywały się tragiczne sceny 27 lutego. Przed kościołem Bernardynów leżał wywrócony karawan, kozacy rozganiali ludzi.

„Młodzież, dzieci, ulicznicy, miotali się z gołemi rękami naprzeciw tych zbrojnych tłumów, które stały osłupiałe... i szyderskim śmiechem urągali się bezsilności siły". Wreszcie wśród ciągle wzrastającego zamieszania i stale przypływających tłumów padły strzały.... Rząd przypuszczał, że jedna salwa rozproszy te tłumy.

I jak wszyscy współcześni, tak i Bolesławita stwierdza: „Stało się całkiem przeciwnie, — cud w dziejach niesłychany. Silni po wystrzale uczuli się słabymi, a lud męczeństwo powitał okrzykiem tryumfu“. Rząd musiał ustąpić.

„Było to — mówi Kraszewski — przyznanie wyższości ludu, powiedzmy prawdę — szlachetne“. Zdradzać miało w Gorczakowie i innych iskrę uczucia i wstydu.

„Warszawa krwią kilku ofiar okupiła chwilę życia, błysk swobody po wiekach niedoli. Dzień ten opiszą kiedyś dzieje“.... Tymczasem dnia tego, dostał się Franek, powtórnie raniony w manifestacyi, do cytadeli, a w Warszawie odrazu się wszystko zmieniło, choć na krótko.

Wojsko cofnięto, natomiast potworzyły się straże młodzieży akademickiej i szkolnej, które otrzymywały rozkazy od delegacyi miejskiej.... „Porządek robili dzieci, a starsi słuchali“.... Planowano adres do cara, co miało być zwycięstwem nielada. Ogłoszono pogrzeb pięciu poległych na dzień 2 marca.

Wystarczy przeczytać to, co pisał o tym pogrzebie w Nrze 58 i 59 swojej gazety Kraszewski, aby wyrobić sobie pojęcie i o pogrzebie i o tem, jakie wrażenie uczynił on na powieściopisarzu:

„Wczoraj pod niebem wypogodzonem najpiękniejszego dnia młodej wiosny, obchodziliśmy w milczeniu uroczystem pogrzeb zwłok pięciu ofiar poległych 27 lutego. Obrzęd ten wspaniały swoją prostotą i majestatyczną ciszą, przedstawiał obraz, którego trudno dać pojęcie tym, co nie byli mu przytomni.

Całe miasto w szatach żałobnych, damy poprzystrajane czarno, pochód zgodny, całej ludności miejskiej, wszystkich wyznań i stanów, pierwszy może u nas pod jedną ideą ofiary, wszystkich obrzędów kapłani idący obok siebie, przedstawiciele wszystkich klas społeczeństwa podający sobie dłonie, naostatek najmłodsze pokolenie pełne życia i wiary utrzymujące porządek w stutysięcznym tłumie... Oto zarys tej wielkiej karty dziejowej. Wobec otwartych mogił pojednanie i przebaczenie religijne, łzy ze wszystkich oczów płynące, bicie serc tego orszaku, które nieledwie można było słyszeć, tak wielką ciszą obleczony był pochód, zalewający miasto całe — śpiewy i muzyka żałobna dodawały uroczystości tej niepojętego uroku“.

W „Dziecięciu starego miasta“ to samo, jeno innemi słowy opowiedział autor, dodając tylko, że „jak w życiu ludzi są chwile apoteozy, tak i w życiu ludów; — w dziejach Polski, wyjąwszy dzień trzeci maja, mało jest chwil podobnych. Usunięcie się wojsk dobrowolne, poszanowanie narodowego bólu, było ze strony dziczy cudem, po którym ona prędko opamiętała się,

powracając do swojej roli, pożałowawszy uczciwej pokory, jak politycznego grzechu"...

Młodzież przy każdej sposobności robiła manifestacye... Na Towarzystwo Rolnicze już nie liczono, a delegacya miejska traciła swą stanowczość...

Nagle padła wiadomość, że Towarzystwo Rolnicze rozwiązano. Młodzież sarkająca na komitet Towarzystwa zapomniała w tej chwili o wszystkiem; widziano tylko nowy cios skierowany w pierś narodu. Andrzej Zamojski stał się przedmiotem powszechnych owacyi, a ponieważ świeżo wydane prawo o zgromadzeniach nie obchodziło nikogo, poczęto myśleć o nowej manifestacyi. Przyczyna była ważna.

Wiemy czem się skończyła manifestacya 8 kwietnia.

Skończyła się rzezią.

Zginął w niej i Franek. Wydostał się on z cytadeli w sposób nieco nieprawdopodobny, bo dzięki jakiemuś urzędnikowi policyjnemu, którym mocno wstrząsnęło przekleństwo rzucone nań przez starą Jędrzejową.

Choć Franek ranionym był dwukrotnie nie wysiedział w domu, gdy usłyszał zdaleka wrzawę, zobaczył ludzi pędzących na śmierć pewną. Poszedł i on, a trafiony kulą padł na ziemię po raz trzeci, by z niej nigdy nie powstać.

A na „bruku wiły się w mękach skonania ciała, które żołdactwo chwytało i ciągnęło, dobijając i odzierając. Tłum patrzał we łzach i podawał katom opuszczoną przez nich broń"...

„Powoli noc czarna zasłonę zasuwała na ten obraz, który w mroku coraz bardziej snem się poczwarnym wydawał, nawet tym, co do podobnych przywykli; hałastra rozjuszona bujała, ciesząc się z łatwego zwycięstwa... walczyła żelazem z krzyżem, pieśnią i pragnieniem męczeństwa.

Odniesiony tryumf był wielkim; tak wielkim, że wstydzić się potrzeba było trupów, rannych chwytać, uprzątać nocą ślady krwi, zamazywać je nazajutrz i ścierać zwycięstwa pamiątki... wspomnienia w krwawem starciu (!) ocalonego społecznego porządku".

* * *

Rzezią 8 kwietnia kończy się „Dziecię Starego Miasta".

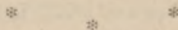
Obrazek ten zawiera cały szereg wypadków, jakich sceną była Warszawa do tego czasu.

Bolesławita, świadek współczesny i baczny spostrzegacz mógł najlepiej ukazać to wszystko, co stolicę nurtowało i wstrząsało nią i uczynił to ostatnie zgodnie z rzeczywistością.

Jako „obrazkowi współczesnemu“ można zarzucić „Dziecięciu Starego Miasta“ pominięcie zebrań delegacyi miejskich i kilka innych rzeczy, o których ledwo wspomina Bolesławita. Wytłomaczyć może się to da chęcią autora, by wszystkie wypadki w ten czy inny sposób związane były z losami postaci występujących w utworze.

W każdym razie jest „Dziecię Starego Miasta“ żywem świadectwem historycznej chwili i dla nas tylko jako takie wartość posiada.

W swoim zaś czasie historya staromiejskiego dziecka nie jednego czytelnika głęboko wzruszyła, niejednemu łzę z oka wycisnęła...



Treść drugiego „obrazka współczesnego“ Bolesławity p. t. „Szpieg“, nie zawiera już tylu ważnych chwil, co „Dziecię Starego Miasta“. Autor nie zajmuje względem tego, czego Warszawa była wówczas widownią, jakiegoś innego stosunku, lecz więcej jest zajęty swoją powieścią, której kompozycya nie jest już tak prostą, jak w „Dziecięciu Starego Miasta“. Nie spuszcza jednak Bolesławita oka z tego, co się wokół niego działo, lecz podaje to w sposób ściśle z postaciami „Szpiega“ połączony.

Charakteryzując rządy moskiewskie w Polsce, pisze Kraszewski w „Sprawie polskiej w 1861 r.“, że „szpiegostwo uczyniono obowiązkiem, denuncyacyę cnotą, a dom, ten przybytek niedostępny wszędzie i swobodny w najdespotyczniejszych krajach, gwałcono codziennie, zrywając związki krwi w interesie niewoli, nakazując dzieciom stawać przeciwko ojcu, nagradzając rodziców, którzy zdradzali własne dzieci“.

Za rządów rosyjskich — szpieg w Polsce i to szpieg nie koniecznie Moskal, ale i Polak — to nie nowina. Za czasów Królestwa Kongresowego przy W. Ks. Konstantym, przy Nowosilcowie mieliśmy całe sztaby płatnych szpiegów, uprawiających misternie swoje podłe dzieło.

Przed wybuchem powstania styczniowego (a zresztą i teraz) zmieniło się tylko tyle, że gdy wpierw, jak mówi Bolesławita, „szpiegostwo, które za W. K. Konstantego liczyło w swem gronie i dosyć pokaźnych ajentów“, teraz „zeszło było na ostateczną szuję“... I oto z jednym z takich osobników mamy do czynienia... Jest nim nałogowy pijak Presler, Polak, który w Kongresówce służył w wojsku polskiem i zwący się z tego powodu porucznikiem, choć zapewne o porucznikostwie marzył tylko.

Pan porucznik wysiadywał w najrozmaitszych lokalach, nad oknami których wiszą tablice z takim np. napisem: „Bilart, pywo i różne tronki“ i tam wśród schodzącej się młodzieży rzemieślniczej i tych, którzy wśród niej rej wodzą — węszył.

Życie Preslera jest okropne...

Pieniądze otrzymane za szpiclostwo odrazu przepija — do domu rzadko kiedy co przynosi. Żona niemal siłą wydziera mu resztki dla dzieci...

Życie rodzinne pana porucznika mija wśród ustawicznych kłótni z żoną, nienawidzącą człowieka z którym ją los sprzągł, nienawidzącą jego haniebnego zawodu. Mąż odpłaca się jej wzajemnością i nieszczęsna kobieta czuje to dotkliwie, gdy porucznik wraca późną nocą do domu pijany jak nieboskie stworzenie.

Kłótnie małżeńskie przerywał zwykle syn, Julek, którego stary pijak niezmiernie kochał. O tem, że ojca miał szpiega, Julek nie wiedział, i co lepsze „mimo starannego doboru nauczycieli bojaźliwych lub obojętnych, mimo niesłychanej czujności nadzoru, mimo nadsyłanych ksiąg naukowych fałszujących historyę i prawdę“, mimo tego wszystkiego, z czem od najwcześniejszych lat spotykał się w szkołach, wyrosł na dzielnego czerwieńca i poszedł tą drogą, jaką wogóle poszła młodzież polska 63 r.

Julek był uczniem Akademii medycznej przy Szkole Głównej, lecz nie tak trzeźwym, jak inni wychowańcy tej Szkoły, którym Wszechnica Jagiellońska przysłała podczas powstania w darze: kądziel. Owszem, zbliżał się on raczej do agronomów marymonckich i uczniów Szkoły Sztuk Pięknych.

Był to zapaleniec i jak zapaleniec przemawiał i nie raz biedna matka, niosąc mu pieniądze zarobione przez ojca, drżała, blednąc pode drzwiami, gdy ją dolatywały słowa syna.

„Bracia! i rozum i ostrożność są pięknymi przymiotami w zdrowym życia przebiegu, ale próżno się niemi chcą kierować w dniach przesilenia, gdy gorączka jest jasnowidząca i prościej do celu prowadzi. Będziecie mieli sto razy słuszność na zimno, ale was samych zwycięży i porwie mój szał... Przychodzą takie chwile, w których człowiek i naród może przenieść śmierć bohaterską nad upodlone życie, naówczas instynkty zachowawcze wzdrygają się wogóle, a duch z radością ku niej rozpościera skrzydła“.

I nie miała odwagi biedna kobieta wejść do izdebki syna, przemawiającego płomiennie do kolegów, by dać mu te hańbą ojca zdobyte pieniądze. Niosła je siostra Julka, Rózia, a ofiarny „czerwony“ rzucał pieniądze na pierwsze potrzeby sprawy.

Po Annie z „Dziecięcia Starego Miasta", tej która choć Frankowi niepoślubiona, pozostała po nim wdową z głęboko w duszy tkwiącą wiarą, że się jednak jeszcze zobaczą i nigdy nie rozłączą, jest Rózia ze „Szpiega" drugą postacią kobiecą z tych czasów. Zaniedbywana przez rodziców, uczyła się i kształciła sama, czytała po nocach „Poezye" Mickiewicza i „Dziewicę Orleańską" Libelta i, niepodejrzewana o to przez nikogo, wyrastała na dzielną Polkę, jaką niejedną posiadał rok 63. Taką była rodzina Preslerów.

Czy jest to rodzina li tylko powieściowa. Nie.

Wiemy teraz dobrze, że między ojcem, a synem, leżeć może przepaść cała, iż na każdym kroku spotkać możemy synów, którzy się wzajemnie z ojcami nie rozumieją.

Lecz w danym wypadku nie o to chodzi, bo przecież Presler szpiclem był, bynajmniej nie z przekonania, i służby rządowej stale się wyrzekał. Interesuje nas to, czy Julek mógł być takim, jakim się nam przedstawia, kiedy w szkole trzymano go zdala od wszystkiego, co polskie, budząc w nim niechęć do polskości przedewszystkiem przez fałszowanie historyi ojczystej, kiedy w domu nikt nie dbał o narodowe wychowanie dzieci?

Rodzina Preslerów nie jest jednak wymysłem fantazyi autora „Szpiega". Tak sam on twierdzi, mówiąc, że „wszyscy co przez te czasy żyli w Warszawie, co się społeczeństwu naszemu zbliska, a uważnie przypatrzyli, przyznają, że takich rodzin, których ojcowie służyli gorliwie rządowi, a dzieci poświęcały się dla kraju, było i jest tysiące.

Nawet w tych domach, w których ojcowie i matki najgorsze dawali przykłady, dzieci rosły wyciągając ręce ku męczeństwu, jakby za grzechy ich odpukotować pragnęły. Widzieliśmy synów policyantów, idących na Sybir w kajdanach, żony urzędników policyjnych więzione za spiski. Jak w atmosferze ciepłej wszystko, nawet kamień się rozgrzewa, tak w tym upale patryotyzmu, ocieplały się serca i rozmiękczały najtwardsze dusze".

Była jednak chwila w życiu Julka, kiedy mu stawiono przed oczy prawdę o jego ojcu... Czerwoni bowiem mieli swoją policyę, choć mniej liczną, ale lepszą, niż rządowa.

Zyskali oni dla niej np. Macieja Kuźmę, biednego stolarza, którego Presler chciał wciągnąć w robotę szpiegowską. I pewnego razu, kiedy Julek wchodził do szynku, w którym miała się zebrać młodzież rzemieślnicza. Maciej Kuźma wskazał mu na ojca i rzekł na ucho: „to szpieg moskiewski"!

Rażony tą wiadomością, jak oszalały pobiegł Julian do domu i tu padł u nóg matki — ledwo żyw.

(Trzeba przytem zauważyć, że wszelkie wstrząśnienia duszy ludzkiej kończą się u Kraszewskiego bardzo często cięższą, lub lżejszą chorobą).

Przybył jednak porucznik i zdołał przekonać syna, że on, co walczył za kraj, co prześladowany nędzę znosi — na służbie rządu być nie może.

Szkoda tylko, że Julek nie zauważył był, ani tego, że ojciec jego był niemiłosiernie zbity, ani też, że miał na plecach marynarki narysowane kółko. I to i tamto było robotą czerwonych i młodzieży rzemieślniczej.

Dowiedzieli się oni, że w jakiejś piwiarni, siedzą szpicle czyhający na młodzież, która w zapale, nie zważając na nic, zdradza się z uczuć myśli swoich.

Odrazu sprawiono się tak, że, nie wyłączając Preslera, każdy z nich miał na plecach kółko. Przybyła młodzież rzemieślnicza wiedziała już o szpiegach, lecz pomimo tego „gwarne i głośne rozmowy i wykrzyki zdradzały niecierpliwość tego ludu, który się zrywał do czynu“...

Ciekawy to obrazek młodych rzemieślników, którzy nie politykowali, nie rachowali, nie troszczyli się o jutro, „chcieli walki dla samej walki, choćby nawet bez zwycięstwa. Szło im o te chwile, w którychby długie pomścili upokorzenie, a potem? Choćby śmierć“! I oni to pobili szpiegów, a zanim przybyła policya, znikli.

Wiedział Bolesławita, że bez 1831 r., rok 1863 byłby niemożliwym, lecz jednocześnie uderzała go wielka różnica jaka między temi pamiętnemi laty zachodziła.

W 63 r. znać przedewszystkiem większe skupienie ducha, obok poświęcenia ogólniejszego dalej idącego. Bo też i rok 1831 nosił wręcz odmienny charakter, „Tam na czele stało wojsko i szlachta, tu stan średni, mieszczanie, rzemieślnicy, młodzież, żydzi. W 31 roku kobiety z okien tylko rzucały bukiety, dziś pełny ich Sybir i cytadela“. I wreszcie największa różnica, bo tam „Chłopicki, Skrzynecki, Radziwiłł, Krukowieccy i t. d., tu Ćwiek, Wawr, Kruk, Fricze, imiona nieznane, a bohaterstwa olbrzymie“.

W „Szpiegu“ mamy niezmiernie sympatyczną postać człowieka o nieznanem nazwisku. Jest nim pułkownik Zagrzebski, popularnie zwany Zagrzebą. Nie jest to bohater, ale człowiek całą duszą oddany sprawie narodowej.

Żołnierz z 31 roku, po upadku rewolucyi nie stracił nadziei, lecz powtarzał sobie piosenkę: „Co się dziś nie powiodło, może się jutro powiedzie...“ Kiedy przekonał się, że w Warszawie za-

nosi się na coś, przybył natychmiast i stał się ulubionym instruktorem wojskowym młodzi.

I tego to właśnie Zagrzebę zetknął los z Preslerem.

Znali się oni dawniej, z roku 31. Nie grzeszący zbytnią ostrożnością Zagrzeba, wspomniał kilkakrotnie szpiegowi o jakiejś robocie do której myśli go użyć i Presler, czując, że może się nadarzyć jakaś grubsza sprawa, począł przed nim udawać gorącego patryotę, a skutek był ten, że szpicel wykrył kryjówkę, w której odbywały się jakieś schadzki. Kryjówką tą był stary refektarz klasztoru, zamieniony na skład żelaza.

Pod dowództwem Zagrzeby ćwiczyła się tam młodzież w robieniu bronią. W braku innych, do celu tego służyły drewniane strzelby.

Na schadzkach takich widziało się księży katolickich, żydów, protestantów, chłopów z pod Łowicza, był i galicyjski hrabia.

Może nie koniecznie tak było — w każdym razie mogły takie zebrania wyobrażać „arkę Noego“, w której mieliśmy ludzi różnych wyznań i stanowisk...

„Po potopie krwi“ miał wyjść z tej arki nowy, polski świat. I choć rok 63 zwycięskim nie był — nie mniej jednak to, co on zapoczątkował tylko, dokonało się już i w życie weszło, a nie jedno, co w tem zbrataniu się stanów było li tylko chwilowem i nieszczerem, wstecz nawet cofnęło i zgoła inne kształty przyjęło.

Wraz z odkryciem przez szpiega kryjówki pułkownika, poczęła się w nim toczyć walka: gdzieś w głębi duszy ukryte siedziały w nim resztki sumienia; lecz utopił je w wódce, i kiedy nadomiar przekonał się, że inny szpieg również coś węszył z tej sprawy, zdradził miejsce ćwiczeń młodzieży.

Wśród niej zaś policya aresztowała i Julka.

Rozpacz ogarnęła szpiega. Przekonał się on dopiero teraz, czem jest rząd moskiewski, dowiedział się, że nie może liczyć na żadne względy. Nie pomógł mu ani pan naczelnik, który jego i innych okradał przy zapłacie za szpiegostwo, ani generał, dla którego nie istnieją łzy i prośby... Julek musi iść na Sybir, pognany tam przez ojca — oto jedyna prawda jaką powinien był sobie Presler uświadomić, i prawda ta poczęła go pomału doprowadzać do obłędu.

Trzeba jednak było za wszelką cenę uwolnić Julka z więzienia. I porucznik po porozumieniu z godnym siebie — innym szpiegiem, chwycił się sposobu okropnego...

Czego nie dokonały jego starania i błagania, wymoże na księciu Szkurinie — Rózia.

Książe Szkurin, znany jest z rozpusty, a Rózia, siostra Julka jest młoda i piękna... Plan ohydny, piekielny, lecz i on zawiódł. Rózia zdezydowała się ratować brata... Wzięła ze sobą truciznę, „aby tego niegodziwca, którego jej uśmiech przekupi, struć, aby ręka jego jej dłoni dotknąć nie śmiała".

Szkurin wszystko zrozumiał, obiecał pomoc, a ostatecznie skończyło się na tem, że Rózię aresztowano... W tydzień potem zmarł jakąś tajemniczą śmiercią adjutant namiestnika, kniaź Szkurin, a Rózia znikła. O jej losie nic się dowiedzieć nie można było. Stary Presler zwaryował.

A pewnego dnia przed świtem, rozmaitych „miatieżników", wśród których byli staruszek ksiądz i młode chłopię, dumnie podnoszący czoło student i wielu, wielu innych wygnano z cytadeli na Pragę, tam bowiem mieści się pierwszy etap długiej drogi, po której nie przestały jeszcze polskie nogi stąpać.

Był tutaj i Julek. Słyszał on zapewne wiadomości, jakie dolatywały do uszu więźniów, spragnionych dowiedzieć się czegokolwiek o swoich blizkich: A brat? Uwięziony; — A mąż twój? Zesłany; — A ojciec wasz? Zabity; — A ona? Siedzi zamknięta; — A przyjaciel nasz...? Umarł i pochować go nie było wolno we dnie, poprowadziliśmy go nocą na Powązki..."

Takim ponurym, okropnym obrazem wyruszenia zesłańców na Sybir kończy się „Szpieg".

Zanucił ksiądz „Pod Twoją obronę", ale zdzielony nahajką za ten śpiew rewolucyjny zamilkł.

„Odwoływanie się do Boga, i skarżyć się na cara — jest to zbrodnia niedarowana... Bóg wedle moskalów jest tylko posłusznym wykonawcą woli monarszej, inaczej dawno poszedłby w sołdaty..." Za Julkiem powlokła się jego stara matka.

* * *

Tak się nam przedstawia drugi „obrazek współczesny Bolesławity... Nie spuścił i tutaj autor z oczu czerwonych. O nich to przez cały ciąg powieści pamięta...

Czerwoni — to Julek zapaleniec i Rózia poświęcająca się...

Czerwoni — to młodzież rzemieślnicza, w której życie wre, choć śmierci pragną i serca mężne tych, co w starym klasztorze ćwiczą się we władaniu bronią...

A wokół tego wszystkiego cytadela, rewizye, naczelnicy, generałowie, szpicle — wszystko słowem, co się z życiem polskiem nie zrosło, ale na nim narosło, co stanowi tego życia swojego rodzaju urodę...

Zapatrzony jest Bolesławita na ulicę i czerwonych, łgnie sercem do tej grupy młodych, rosnących w większe siły, budzących do czynu stolicę ba! kraj cały — obejmuje wzrokiem za każdym razem inne postaci czerwonych, inne warunki ich pracy.

Widzi Bolesławita coraz więcej, a to, co spostrzega daje mu możność roztoczyć obraz większy i szerszy pracy czerwonych i tem barwniejszy, że pełen zapału, który jakby się Bolesławicie udzielił od czerwonych, bo „zapał — mówi autor „Pary Czerwonej“ — ma to do siebie, że najgłówniejsze argumenty zwycięża, bo zapał jest już zarodem czynu, gdy rozumowanie jest zawsze słowem“.

Uznanie i zapał dla czerwonych i ich roboty dochodzi u Bolesławity do najwyższego stopna w „Parze Czerwonej“. „Ledwiebyśmy nie powinni być wdzięczni, że nas do snu nie kołysano, że rozbudzono męczarnią, że drażniono bezrozumnym uciskiem“ — mówi Bolesławita, kreśląc ogólnie epokę mikołajewską.

A w rozbudzonym kraju zarysowały się dwa stronnictwa. Znamy je już z „Dziecięcia Starego Miasta“...

Przy pracy legalnej już nie tylko obok Towarzystwa Rolniczego, ale i przy Wielopolskim stanęła arystokracya i szlachta... Przy Polsce Niepodległej stanęli czerwoni, przeważnie dzieci stanu trzeciego. Tak przynamniej było do wybuchu powstania. Były jednak i wśród szlachty elementy gorętsze i czerwieńsze, szczególniej wśród młodych. Te poszły później do powstania.

Gdybyśmy w „Parze Czerwonej“ nie mieli tego smutnego obrazu arystokracyi i szlachty, można byłoby powiedzieć, że „Para Czerwona“ jest niejako wyobrażeniem zbliżenia się dwu stanów do wspólnej sprawy, że Bolesławicie chodziło o wskazanie, że to, co się w latach 1861—63 w Warszawie dokonywało, było jednym, silnym, wartkim strumieniem, zdolnym ogarnąć i porwać wszystkich. Lecz, niestety, Jadwiga Żylska była wśród swojej sfery wyjątkiem i różnym Juliuszom, Edwardom i najrozmaitszym hrabiom wydawała się istotą dziwną i niezrozumiałą. Panna piękna, o milionowej fortunie, arystokratka (ale tylko ze strony matki, lecz mniejsza z tem, oczywiście) rozumowała w ten sposób: „W gorących walki godzinach, czemuż my, jak matki czarnogórskie synom, jak żony Greków mężom, jak Serbów siostry braciom, u boku stać nie mamy?“

Mogąc z ciotką swoją, która się nią opiekowała, robić co się jej podoba, panna Jadwiga poczęła przerażać i zrażać dobre towarzystwo tem, że w salonie jej poczęły się ukazywać indywidua, które miały to do siebie, iż nie znały ani hrabiów, ani

baronów i ich wspólnych szlachetnie urodzonych znajomych, ale za to czuć je było zdaleka... ulicą. Przynamniej czuły to dobrze arystokratyczne nosy tych, których panna Jadwiga i jej ogromny posag przywabiały...

Oczywiście w salonie Jadwigi harmonii być nie mogło, były natomiast zgrzyty niemiłe i te poczęły się na sławie panny Żylskiej odbijać... Poczęła ona w Warszawie uchodzić za czerwoną i faktycznie stawała się nią z każdym dniem coraz więcej.

Zaprzyjaźniła się z Karolem Glińskim, który „na nieszczęście był przystojnym chłopcem, a na szczęście czerwonym". Od tego czasu, kiedy się młodzi do siebie zbliżyli „ciocia codziennie odmawiała wieczorem trzy Zdrowaś Marya, na intencyę, żeby z tego jakiej awantury nie było". I nie było.

Karol był biedny, ale dumny, do jaśnie państwa nic go specyalnie nie ciągnęło, a wiele odstręczało. Z panną Jadwigą było nieco inaczej. Pomińmy wszystko inne, ale musiała się przecież od kogoś dowiedzieć, co się na ulicy dzieje... A któż o tem mógł lepiej wiedzieć od Karola, który nadomiar i jakby dla wygody panny Żylskiej mieszkał w tym samym domu (tylko nieco wyżej).

To też panna Jadwiga poczęła dbać o Karola. Zależało jej bardzo na tem, aby Karol nie wpadał w wielkie niebezpieczeństwa, pomagała mu w jego pracy i powoli sama wciągała się w nią, oddając sprawie wielkie przysługi.

Tom pierwszy „Pary Czerwonej" nie wiele wnosi do tego obrazu 63 r., jaki mamy w powieściach Bolesławity.

Prawda, że tu mamy opisy manifestacyi, ale te poznaliśmy już wcześniej; jak wpierw, tak i teraz wspomina zaledwie autor o delegacyi do Gorczakowa, o adresie do cara.

Mamy zato obraz arystokracyi polskiej, ujawnia się też zdecydowany stosunek Kraszewskiego do margrabiego Wielopolskiego.

Kraszewski na arystokracyę spoglądał zawsze okiem krytycznem i niejednokrotnie wyrażał o niej sądy ostre.

W „Latarni Czarnoksięskiej" (1842) zeznawał, że „arystokracya każdego kraju, gdy przestanie brać udział w rządzie; gdy ją okoliczności odsądzą od dawnych prerogatyw i przywilejów, powinna wybrać sobie cel jakiś, starać się działalność swoją w inną stronę skierować, inaczej nigdy jej nawet nie pojmą; egzystencya jej zostanie niczem nieusprawiedliwiona, co więcej arystokracya taka nie wyżyje długo. Jakiś czas cherlać będzie

życiem nabranem z dawnego, resztką sił pozbieranych w czasach czynności, ruchu, działalności swojej; potem obumierać zacznie, poniży się, zbezcześci, straci szacunek publiczny i egzystencyę nawet".

Chciał Kraszewski, aby arystokracya zajęła się czemś, ale nie podobał mu się, ani arystokrata spekulant, ani pan literat. Popularny zaś arystokrata wydaje mu się „kokietką, która dla wszystkich ma słowa i spojrzenia słodkie" i ostatecznie w „Milionie posagu" przedstawił takiego hrabiego, który właściwie mówiąc jest „krzyżykiem" postawionym nad arystokracyą.

Wielcy panowie nie różnili się według Kraszewskiego niczem od bogatych żydów i bankierów; powieściopisarz widział, że w arystokracyi „powoli wygasa duch stary, stygły serca, odzywały się pragnienia zwierzęce, malał człowiek i sobie tylko żył samemu".

Nie jest mojem zadaniem (i nie podjąłbym się tego) bronić arystokracyi polskiej i margrabiego, lecz kiedy stoją przed nami salonowe postaci z „Pary Czerwonej", wówczas dziwnemi wydają mi się słowa, które pisał Kraszewski w nr. 20 „Gazety Codziennej" 1860 r.:

„Do krytyków, do historyków, do pisarzy i ludzi świata... odezwałbym się zarówno z życzeniem, aby w sobie chcieli poszukać władzy zapatrywania się na świat, ze strony poważnej i odkrywania raczej dobra niż plamy...; z trochą pracy i dobrej woli, świat by wydał się nam inaczej, piękniej, jaśniej, a wzburzona wiara w dobro, nas samych by podniosła. Zło narzuca się samo, szukajmy dobrego".

A wobec portretu margrabiego, jaki mamy w tej powieści, czczymi tylko wyrazami będzie to, co wyszło z pod pióra Kraszewskiego publicysty:

„Kto w każdej czynności ludzkiej naprzód zła szuka i zło widzi, choruje na oczy duszy, nie jest czem być powinien...; nim rzekniemy winien! a podniesiemy kamień potępienia, dwakroć pomyśleć, trzykroć przebaczyć należy"...

Są to zdania należące do rzędu „ładnych" (rzecz inna, jak to bywa w życiu), lecz powiedziane były snać w pewnej tylko chwili i nie na zawsze zobowiązywały.

Nie będziemy się postaciami arystokracyi z „Pary Czerwonej" specyalnie zajmować...

Arystokraci w „Parze Czerwonej" są stanowczymi przeciwnikami wszelkiego żywego ruchu... Wszyscy oni myślą o posagu p. Jadwigi, a z poszczególnych typów, jeden i to najroz-

sądniejszy, choruje na anglomanię, drugi najgłupszy (zresztą niekoniecznie arystokrata, lecz szlachcic udający takiego: p. Edward, który występował i w „Dziecięciu Starego Miasta“) staje się mimowoli denuncyantem, trzeci p. Juliusz jest już z swojej własnej woli podłym i t. d.

Wszyscy oni wyrażają się oczywiście z szacunkiem i uznaniem o działalności Wielopolskiego.

Inaczej czyni autor „Pary Czerwonej“.

O ile w artykułach swoich, umieszczanych w „Gazecie Codziennej“ był Kraszewski w poglądach na margrabiego częstokroć sprzecznym ze samym sobą, (wykazał to Chmielowski), o tyle stanowisko jego w „obrazkach współczesnych“ jest już zdecydowane i zdecydowanie wrogie.

Wielopolski dał się już w ciągu lat paru poznać i Bolesławita potępia go bezwzględnie.

Niejedną łatkę przypiął mu już w „Dziecięciu Starego Miasta“, gdzie też w końcu, mówiąc o dniu 8 kwietnia z sarkazmem przypomina zdanie Wielopolskiego: „w krwawem starciu ocalony porządek społeczny“.

O zdaniu tem mówi autor i w „Parze Czerwonej“, orzekając, iż pozostanie ono „na równi w historyi ze słowami Sebastianiego“. „Margrabia, któremu ludzie pragnący spokoju robią olbrzymią sławę męża stanu, już miał czas przekonać, że nim nie jest“. Wszystko, co Wielopolski czynił, było chybionem, bezcelowem, obliczonem na wielki efekt.

Wielopolski „jestto Don Kiszot siły, który się o to tylko troszczy, aby mu przyznano tak szeroką energię, jak szerokie ma barki“.

Dla rządów moskiewskich stanowi margrabia li tylko parawan, zakrywający sobą jasną prawdę.

Czyni on bowiem z Polski naród rewolucyonistów, okrywa despotyzm w formy legalne, a te znów oszukują opinię Europy.

Moskale ukazują się jako obrońcy porządku i spokoju europejskiego, a my jako jego burzyciele.

I „zmusić ich do zrzucenia tego przybranego stroju, do obnażenia ich tej tatarskiej skóry, z której się wcale nie wyzuli, jest czystym zyskiem dla naszej sprawy“.

Margrabia oczywiście we wszystkiem szkodzi. I nie kto inny, tylko Wielopolski, przy wjeździe do Warszawy W. ks. Konstantego urządził dla niego sztuczną, ale mającą wszystkie pozory prawdziwej, owacyę; on to zegnał wznoszące okrzyki tłumy, których w rzeczywistości zabrakłoby.

Lecz najgorszem było to, że wraz z margrabią do Polski przybyło widmo „czerwoności“.

Chcąc wytłómaczyć siebie, że nie walczy z całym krajem, ogłosił Wielopolski, że walczy tylko z tymi, którzy chcą zburzyć porządek społeczny.

„Wszyscy, których z sobą wiózł z Petersburga, napojeni byli zawczasu tem przekonaniem, że cały ruch polski był to przebrany w kontusz i żupan, socyalizm, komunizm, rewolucya i t. p.“

Faktycznie zaś „wyraz „czerwony“ oznaczał na ówczas wszystkich gorętszych, a w ustach Brühlowskich sędziów był potępieniem bezwarunkowem...“

Ci, którzy zbliżali się do margrabiego, wierzyć musieli, że w danym wypadku bynajmniej nie chodzi o Polskę i Sprawę Polską, lecz o fragment powszechnej rewolucyi europejskiej, którą wówczas tropiono i której się obawiano, jak ognia.

„Czy autor tej bajeczki, puszczonej zręcznie, a raczej tego bąka, sam w nią wierzył“ — tego Bolesławita nie wie, ale wie, że „do samego ostatka usiłował wszystkich przekonać, że walczył z hydrą rewolucyi socyalnej“...

Tem wszystkiem jednak nie zadowolił się jeszcze Bolesławita. W jednym z rozdziałów pierwszego tomu „Pary Czerwonej“ poczyna się autor tak Wielopolskim zajmować, jak gdyby stanowił on w tym utworze jedną z pierwszorzędnych postaci. Doprawdy, że autor samej „Pary Czerwonej“ t. j. Jadwigi i Karola nie scharakteryzował w tak szczegółowy sposób, jak to uczynił z Wielopolskim.

„Wystawmy sobie człowieka w którego krwi płynie wiekowa duma polskich magnatów, zwiększona jeszcze tem, że jej nie popiera ani majątek, ani znaczenie, ani wiara ogólna w człowieka czującego w sobie energię i niezłomne zaufanie w swe zdolności“.

Pochodził on z rodziny, która w historyi naszej nic nie znaczyła, „ale jak bardzo wiele rodzin arystokratycznych, im mniej ma zasług prawdziwych i praw do przodkowania narodowi, tem więcej do nich rości pretensyi“.

W powieści mamy niemal całą biografię Wielopolskiego w której autor nic nie pomija, ani tego, że margrabia nie był wybrednym w wyborze środków do podźwignięcia swojej fortuny, ani listu do Metternicha, ani historyi z zapisem Świdzińskiego.

Ze sprawy zapisu Świdzińskiego ukazuje się Bolesławicie cały Wielopolski.

Jest on „zarozumiałym, niezręcznym, upartym i pomimo pozornej energii, tylko słabym".

Porywając się na to, czego zwyciężyć nie jest w stanie, daje margrabia dowód tego, że nie chodzi mu o losy kraju, lecz o to, by nikt nie dostrzegł w nim słabości.

Odtrącony od Towarzystwa Rolniczego „raz wypłynąwszy na wierzch, czego od tak dawna pragnął, margrabia oburącz chwyta władzę, czepia się jej, znosi najprzykrzejsze obejście się z nim Suchozaneta, jedzie do Petersburga i w tym świecie komedyantów, oceniony jak należy, widzi się nareszcie u szczytu potęgi".

Wielopolski posiadał wielki egoizm, a małe zdolności; energia jego była raczej uporem, a że umiał zręcznie odgrywać rolę męża stanu, udawało mu się nawet wyższych od niego ludzi bałamucić.

„W systemie swym politycznym był to człowiek idei średniowiecznej; wierzył w siłę, nie rozumiał wieku i kilka (sic) ciasnemi formułkami chciał wszystkiemu podołać".

Doktrynerem, jak go niesłusznie nazywano, Wielopolski nie był, „całą bowiem jego doktryną, w którą sam może nie wierzył, było to, że walczy z rewolucyą i przemocą ją tylko zwalczyć może".

Margrabia niczem się nie różnił w rządach od generałów moskiewskich, gdyż jak i oni był przekonany, że Polską można rządzić jedynie systemem mikołajewskim i „odrazu wyrósł na satrapę, zapomniał, że w Berlinie słuchał liberalnych wykładów i uchodził za człowieka szanującego swobodę zarówno z prawem".

Czytając to, co Bolesławita pisał o Wielopolskim, doprawdy, że nie wiem, gdzie się tu kończy charakterystyka, a zaczynają złośliwe docinki albo zgoła pamflet.

„Otarcie się o despotyzm, plenipotencya cesarska uczyniły go despotą... Ukazem nakazywał wdziać cylindry, szyderstwem ścigał żałobę, a w drobnych nawet rzeczach nabył już obyczajów moskiewskiego urzędnika".

I przypomina Bolesławita, jak to najpiękniejsze gipsy należące do szkoły sztuk pięknych kazał margrabia przenieść dla ozdobienia swego domku przy ogrodzie Botanicznym; nie zapomniał też i o drzewach i krzewach z oranżeryi tego ogrodu, którymi upiększono pałac Wielopolskiego.

„Był to niedobry przykład, nieposzanowanie publicznej własności, ale już margrabia we wszystkiem równie wyższym się miał nad prawo".

Nie dosyć na tem. Zajrzał jeszcze Bolesławita do prywatnego życia Wielopolskiego. Margrabia i rodzina jego „otoczyli się wszystkiemi formami wysokiego dostojeństwa, odgrodzili od pospolitych ludzi dumą bez miary“.

Poniedziałkowe wieczory i wystawne czwartki margrabiego były niezmiernie ciekawe, gdyż „pomimo arystokratycznego pochodzenia, margrabia, który życie spędził na wsi z żydami, ekonomami i drobną szlachtą, tak się obchodził w Warszawie ze swymi gośćmi, jakby to byli jego oficyaliści“.

Goście Wielopolskiego byli istnem wcieleniem pokory. Nie podawał on ręki nikomu, „czasem umyślnie dobywał chustki do nosa, aby witającego oszukać i skwapliwie wychyloną dłoń zostawić pustą w powietrzu“.

Nie oszczędził też Kraszewski i tych, którzy stali przy boku margrabiego. Urzędnicy i arystokraci stanowili koło zwolenników Wielopolskiego. Była to, mówiąc słowami Bolesławity koterya, której nie jeden członek w ten sposób rozumował:

„Panowie, prawi Polacy, i ludzie, którym drogi jest porządek społeczny, winni się wziąć za ręce i pójść wszyscy pod sztandar margrabiego! Jeżeli on nie zbawi Polski, Polska zginęła! Nie powinniśmy cofnąć się przed najcięższymi obowiązkami obywatelskimi; gdyby potrzeba, gotów jestem wydać rodzonego brata. Każdy z nas uczynić powinien podobnie!“

Zdanie to nie jest domysłem Bolesławity. Oświadcza on, iż słyszał takie na własne uszy.

Tak więc wszystko, co ujemnego (wraz z plotkami) o Wielopolskim krążyło po Warszawie, znalazło swój wyraz w długiej, nawet przydługiej charakterystyce margrabiego.

Jest w niej sporo racyi — to prawda, ale że powieść, która nie jest ani pamiętnikiem, ani dziennikiem, wiele na tem straciła to również nie ulega wątpliwości.

Inaczej zupełnie mówi Bolesławita o Andrzeju Zamojskim. I w „Parze Czerwonej“ jest autor tego zdania, że rola Towarzystwa Rolniczego, a z nim i Andrzeja Zamojskiego była w latach 61—62 właściwie skończona, lecz pamięta Kraszewski ten czas, kiedy nie kto inny tylko pan Andrzej uchodził za jedynego przedstawiciela kraju.

„Niepodobna zaprzeczyć wielkim jego dla Polski zasługom; mąż ten w czasie, gdy wszyscy byli bezczynnymi, sam jeden znalazł zakres, w którym działać było wolno, można, i dla przyszłości zbawiennie“.

Do historyi należy oznaczyć ściślej charakter prac Zamojskiego i określić ich doniosłość (dlaczego nie trzymał się tego

Bolesławita, mówiąc o Wielopolskim ?) „my wspominając go jako człowieka, cześć oddajem niezłomnemu i prawemu charakterowi jego. Bądź co bądź, albo mało, lub wcale nie mieliśmy mu równych“.

Z konieczności przerwaliśmy wątek powieści, bo zawsze chodzi nam o rok 63, o stronę historyczną, a nie literacką utworów Bolesławity. Nikt jednak nie zaprzeczy, że stronice poświęcone przez autora margrabiemu zrywają główny wątek „Pary Czerwonej“, choć Wielopolski, osoba konieczna zresztą w „obrazku współczesnym narysowanym z natury“ — nie jest bynajmniej sztucznie „wsadzony“ w powieść.

Do niego bowiem — na jedno z przyjęć — przybyła z ciotką Jadwiga, by prosić za Karolem, który dostał się do cytadeli.

Oczywiście, że nic to nie pomogło.

Wielopolski oddawna już słyszał o „czerwonej“ pannie, która pod wpływem coraz bliższej znajomości z czerwonymi (i zresztą z własnych przekonań) stała się zdecydowanie czerwoną.

Rewolucya była dla niej rzeczą smutną, ale nieuchronną. „Kto nie chce rewolucyi, ten przyjąć musi i rozpadniętą naszą ojczyznę taką jaką jest, i panowanie rosyjskie na wieki wieków“.

Ukrywała ona u siebie papiery i książki, jakie jej często czerwoni przynosili i stopniowo pomiędzy Jadwigą a Karolem Glińskim poczęły się zadzierzgać nici miłosne.

Niema tu oczywiście mowy o wyznaniach miłosnych, o miłości namiętnej i wybuchającej.

Wobec spraw i uczuć ogólnych, jakie ich serca zaprzątały, uczucia osobiste milkły. „Nie czas marzyć o kochaniu — o bogdance i róż słaniu. — Dla nas niema róż“... — przypominają się słowa Romanowskiego.

Jak i później tak i od pierwszej chwili czuła „Para Czerwona“, „że w tej wielkiej chwili grzechem istotnie była nawet najczystsza miłość, która odrywać mogła od miłości ojczyzny“ i ciekawem, a słusznem jest spostrzeżenie Bolesławity, że „nie oni jedni, ale cała niemal młodzież w tej uroczystej chwili była jakby w świątyni, w czasie mszalnej ofiary, gdy nikt przy ulubionej nawet spojrzeć na nią nie śmie, a wszystkie oczy są na ołtarzu, a wszystkie dusze w modlitwie, a wszystkie serca w Bogu. Takiego oderwania się od ziemi, od wszystkiego, co na niej jest nam najdroższem, nie pokażą nam dzieje nigdy i nigdzie, kochankowie, rodziny, małżeństwa zapominali o sobie, aby tylko służyć ojczyźnie“...

Kiedy Karol dostał się do cytadeli, p. Jadwiga nie rozpaczała, lecz niezmiernie zręcznie wzięła się do roboty, niemal

niemożliwej, do starań o ułatwienie ucieczki Karolowi. Dzięki dwu żołnierzom udały się starania Jadwidze i ucieczka Karola nie nosi bynajmniej cech nieprawdopodobieństwa, lecz tylko szczęśliwego zbiegu okoliczności, a te jakżeż często się trafiają...

Tymczasem Jadwigę zmuszono opuścić Warszawę. Co prawda, podczas rewizyi nic nie znaleziono u niej, była jednak, aż nadto „skompromitowana". O jej czerwoności mówiła cała stolica.

Jadwiga wyjechała z ciotką na wieś, a po śmierci swojej opiekunki wróciła za cudzym paszportem do Warszawy i wzięła się napowrót do roboty. Jak wpierw w pięknych apartamentach, tak i obecnie, ale w niepozornym, oddalonym od miasta domku miała prasę drukarską i leciały w świat proklamacye, gazetki, broszury. A stwierdza Bolesławita, że „począwszy od tych nieśmiałych próbek, które się ukazały po raz pierwszy w rocznicę 29 listopada 1860 roku. zbiór tych ulotnych pisemek, peryodycznych dzienników, odezw i t. p. stanowi niezmiernie szacowny materyał do historyi epoki, ale go zajadle niszczą Moskale"...

Pod cudzem też nazwiskiem, co dzień inaczej przybrany, siedział w Warszawie i Karol, który za nic nie chciał wyjechać za granicę, siedział, aż do chwili branki, bo na jej odgłos „dla tych, którzy stali u steru ruchu, nieuniknionem się prawie stało iść z niemi (t. j. z „nowobrańcami" w lasy), dać się pozabijać, ale w każdym razie los ich dzielić, aby na wieki wiary u ludu nie stracić".

Branka była dziełem Wielopolskiego i „pamięć jej ciężyć będzie wiecznie na imieniu tego człowieka, który takich środków potrzebował, aby Polskę opanować i ujarzmić" i była też pierwszem hasłem do powstania. Przeszła jednak spokojnie, a spokój ten pierzchł z chwilą ukazania się owego słynnego artykułu margrabiego, w którym pisał on, że „pobrani do wojska cieszyli się, iż mieli służyć najjaśniejszemu panu, że byli w najlepszym humorze i narzekali na stronnictwo bezrządu!"

Po ukazaniu się artykułu takiej treści, miasto całe drżało z oburzenia, „niepodobieństwem było powstrzymać rewolucyę, kilka dni brakło jeszcze do stycznia, mieliśmy jeszcze kilka miesięcy zimy do przetrwania, nie było broni, pieniędzy, planu, ci sami co zgodzili się na nieuchronne już powstanie, opiekę nad niem Bogu powierzyć musieli".

Ze smutkiem przybył do Jadwigi Karol z zebrania młodzieży czeladniczej, gdzie postanowiono ruszać w lasy; ze smutkiem, bo „połowa tych ludzi na tę porę, na którą psa wygnać trudno, idzie bez grosza, bez odzieży, bez jadła, bez kija w ręku nawet, na prawie pewną zgubę"... Lecz pomimo tego, słyszymy zdanie

prawdziwego „straceńca„: „Z kijami na bagnety, z bagnetami na działa. Czego nam braknie, zastąpi męstwo i poświęcenie bez granic. Żaden z nas nie boleje nad sobą, ale patrząc na zapał tego ludu, na tego cudownego ducha, który zeń tryska, chciałby mu dać (to) do czego każdy żołnierz ma prawo, choć broń w rękę“...

Broni nie było, a pomimo tego nazajutrz mnóstwo młodzieży spowiadało się po kościołach i ruszało w lasy... Po kilku dniach poszedł i Karol.

Ruszyła za nim i panna Jadwiga, która już wcześniej była orzekła, że nic jej nie powstrzyma od spełnienia tego obowiązku. Nie zamierzała, jak panna Plater siąść na koń, uznawała, że kobiety „miejsce u łoża chorych, u wezgłowia umierających, razem z ołtarzem i kapłanem“.

Nie poszczęściło się jednak jej zamiarom.

Jakiś kuzyn (oczywiście hrabia), który jako blizki krewny, miał się za jej opiekuna po śmierci ciotki, wrócił ją z drogi i to pod eskortą... kozaków. Karol natomiast szczęśliwie dotarł do lasu, gdzie znalazł obóz straceńców, przedstawiający sobą widok ogromnie smutny, przygnębiający.

„Wśród nagich drzew na obmokłej ziemi, stało kilka na prędce niewprawnie z suchych gałęzi ukleconych szałasów. Przed nimi paliły się skwiercząc mdłe ogniska, które deszcz gasił, a wiatr rozrywał. Na pierwsze wejrzenie, ludzi prawie nie było widać, leżeli na ziemi znużeni, chorzy, zboleli na ciele i duchu. Ledwie się tam coś zwolna gdzieniegdzie ruszało wśród mroku. Przystąpiwszy bliżej, Karol dostrzegł kilka garnków, jakby zapomnianych przy ogniskach, milczenie znamionowało i brak sił i jakieś odrętwienie w znużonych zbiegach“... Dopiero Karol wniósł do tego obozu otuchę, zaprowadził jako taki ład, począł myśleć o broni, o umieszczeniu chorych.

Udało mu się ściągnąć do obozu pożywienie, kowala, chłopa gorącego patryotę, który z prawdziwem poświęceniem oddał się pracy i żwawo robił kosy; znalazł się i rozegzaltowany młody doktór, żyd.

Partya powstańcza rosła stopniowo w siły i ducha — stawała się z bezładnej kupy — karnym oddziałem, niebezpiecznym dla rządu. Moskale nie zwracali początkowo uwagi na tworzące się partye powstańcze i Bolesławita w dłuższym wstępie tłómaczy z jakich to powodów czyniono.

Przedewszystkiem rząd wierzył tak w swe przeważające siły, iż chciał, aby powstanie uwydatniło się i rozszerzyło jaknajwięcej, by można je było zgnieść całe. Drugą niemniej ważną przyczyną jest chęć obłowienia się generałów podczas powstania.

„Nie było więc na rękę Moskalom nagłe ukończenie powstania. W ich chciwości mieliśmy doskonałego sprzymierzeńca, wprawdzie za pobicie jakiego oddziału mogli dostać krzyżyki lub gwiazdę na szlifie, ale ścigając go pakowali tysiące rubli do kieszeni“.

I mówi Bolesławita, że najsilniejszy nawet patryotyzm (chyba „patryotyzm“) nie przeszkadza wojsku moskiewskiemu „pamiętać o sobie“. Nie darmo przecież sądził car Mikołaj, że w Rosyi jest pewien tylko dwu ludzi, którzy państwa nie okradają t. j. siebie i syna swego.

Partya Karola powiększająca się z każdym dniem, została zdradzona przez żonę karczmarza, którego powstańcy powiesili, za chętkę oddania ich dowódcy w ręce kozackie. Musiał Karol w nocy cicho zwijać obóz i przenosić się na inne miejsce. Uczynił to zręcznie i pociągnął lasami dalej. Moskale szli jego śladami. Była to istna tłuszcza, której „ani wiek, ani boleść, ani stan, ani nawet śmierć, która zwykła przejednywać wrogów, nie powstrzymały... gdy miała do czynienia ze słabszymi. Nie jeden raz z rozkazu generałów tańcowali na mogiłach świeżo rozstrzelanych powstańców, dobijali rannych, cięli żywcem na kawały, darli skórę, obcinali nosy i uszy... zadawali najprzemyślniejsze męczarnie. Ani suknia kapłana, ani świętości kościoła, ani majestat ołtarza i krzyża nie opamiętały tej dziczy pogańskiej, godniejszej imienia zbójców niż żołnierzy“.

Zaczęły się pierwsze potyczki i te wypadały dla powstańców dość szczęśliwie. Udało się im znienacka napaść na śpiących Moskali, rozproszyć ich i zdobyć trochę broni, pieniędzy, tornistrów.

Po kilku dniach wywiązała się nowa potyczka, bitwa już raczej, lecz i w niej nasi pozostali zwycięzcami, choć sporo było rannych, a między nimi i Karol Gliński.

Po drodze przyłączył się do partyi Karola nowy oddział i wszyscy razem skierowali się w stronę poblizkiego miasteczka, by nazajutrz uroczyście tam wkroczyć. Miało to być jednocześnie manifestacyą. I było też nią to wkroczenie.

Zaledwie bowiem z rozwiniętą chorągwią począł się obóz do miasteczka zbliżać, wysypała naprzeciw cała ludność. „Rynek był pełen, ulica ostawiona, w oknach głów co nie miara, na dachach chłopcy poprzyczepiani jak grzyby... W kościele w dzwony wszystkie zaczęto bić wesoło jakby na Zmartwychwstanie Pańskie. Proboszcz w kapie, z krzyżem w ręku szedł na spotkanie..., bractwo z chorągwiami, mieszczanie, kahał, rabini i żydzi“... Witano powstańców serdecznie. „Nadeszli potem mieszczanie, przyszli żydzi ściskając i całując tę piękną, rzeźką młodzież, która szła

tak ochotnie na moskiewskie jatki"... W kościele i po całej mieścinie rozlegały się pieśni patryotyczne. Zrzucano ze ścian orły moskiewskie, zabrano kasę, nie oszczędzono też jakiegoś lichego magazynu wojskowego.

Wreszcie wyszli powstańcy z miasteczka, a nazajutrz wpadli kozacy i... powtarzamy za Bolesławitą, że „krwawej tej sceny, która tyle razy w czasie wojny się powtórzyła opisywać nie będziemy, dosyć jest znać usposobienie moskiewskiego żołnierza... aby sobie wyobrazić do czego się on posunąć może, gdy go nic nie powstrzymuje. Zrabowano plebanię, zbito starego księdza, splądrowano domy znaczniejszych mieszczan, a w gruzach i popiołach domostw walały się trupy kobiet, dzieci i starców".

Tymczasem zaś Karol przeniesiony do dworu sąsiedniej wioski państwa Wernerów, miał się coraz gorzej i gdy Jadwidze udało się przełamać wszystkie przeszkody i przybyć do Karola zastała już tylko trupa.

A co się z nią stało?

Poszła z mogiły Karola „na pobojowisko, do braci swoich i jego", poszła nie sama, lecz z Wandą, córką Wernerów, dziwną, jasnowidzącą dziewczyną, jedną z najświetniejszych postaci kobiecych w naszej powieści... Poszły „dwie sługi boleści... by, jak chrześcijanki pierwsze, grześć ciała umarłych męczenników, opatrywać rany"..., bo sądziły, że te resztki życia, które w nich tkwią należą do ojczyzny, a Karol dał przykład.

Tak się kończy historya „Pary Czerwonej".

(Dokończenie nastąpi).

Kraków. *L.*



XXVI. Zjazd „Zjednoczenia Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą.“

(25—29 grudnia 1912 r.).

Ciosy, bezustannie na naród nasz spadające, wskazywały obecnemu pokoleniu młodzieży polskiej dwie drogi: pogodzenie się z istniejącym stanem rzeczy, uznanie raz na zawsze moskiewskiej, pruskiej i austryackiej przemocy i zajęcie się najwyżej pracą t. zw. organiczną, lub przygotowywanie się do pracy, zdążającej do zasadniczej zmiany warunków politycznych naszego bytu narodowego.

Młodzież polska okazała się dość silną, by iść tą ostatnią drogą. Coraz liczniejsze rzesze skupiają się pod sztandarem Niepodległości — jednym z widocznych dowodów tego był XXVI Zjazd „Zjednoczenia Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą.“

W chwili zaiste „dziwnie osobliwej“ obradował zjazd paryski. Wybuchu wojny między mocarstwami rozbiorczemi — wojny, któraby miała bezpośredni wpływ na losy naszego narodu, oczekiwanego z dnia na dzień. Nic dziwnego przeto, że myśl uczestników zjazdu zwracała się ustawicznie ku temu, co już od kilku miesięcy nazywamy „sytuacyą obecną“, rozstrzygając, jak w najbliższej przyszłości wobec przewidywanych wypadków ma zachować się młodzież polska grupująca się w „Zjednoczeniu“ zagranicznem. Młodzież w kraju zrozumiała, jaką rolę odegrać powinniśmy i gdzie nasze miejsce w razie wojny austryacko-rosyjskiej. Nie wątpiliśmy, że młodzież, studyująca zagranicą, idąca zawsze ręka w rękę z młodzieżą krajową i tym razem nie pozostanie w tyle, stając również w chwili decydującej do walki o Wolną, Niepodległą Polskę. Zjazd ostatni dobitnie stwierdził, iż miejsce Jej jedynie wśród bojowników o wolność narodu — jedynie w szeregach walczących.

I to było dominującym tonem zjazdu, przewodnim jego motywem, górującym nad wszystkimi innymi. W jednem z przemówień życzono zjazdowi charakteru bojowego, jaki winien cechować całą młodzież polską. Życzeniu temu stało się w zupełności zadość.

„Sytuacya obecna“ (poświęcono jej posiedzenie wiecowe, pozatem Koło delegatów powzięło odpowiednią uchwałę) nie mogła oczywiście wyczerpać całego porządku dziennego zjazdu.

Nie przeszkodziła ona zajęciu się całym szeregiem innych spraw, już to natury zewnętrzej, już to wewnętrznej.

Mieliśmy przedewszystkiem wiec wywłaszczeniowy, na którym zarówno delegaci, jak i obecni na zebraniu goście uchwalili rezolucyę, znaną zresztą czytelnikom „Sprawy“ ze styczniowego numeru naszego pisma. Z innych kwestyi poruszanych na Zjeździe zasługują na uwagę: stosunek Zjednoczenia do Skarbu Narodowego, do innych odłamów młodzieży polskiej i do „Ogniwa“.

* * *

„Zjednoczenie Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą“, jak wiadomo, popierało czynnie Skarb Narodowy. Niestety, ostatnimi czasy, Skarb Narodowy nie odpowiadał wzniosłemu celowi przeznaczonemu mu pierwotnie [1]). Ludzie, którzy wielkie zasługi dla Skarbu położyli, jak np. pułkownik Zygmunt Miłkowski, zgoła krytycznie zapatrują się na jego stan obecny. Nic dziwnego przeto, że Zjazd „Zjednoczenia“ uchwalił powstrzymanie się od opodatkowywania swych członków na rzecz powyższej instytucyi. O nowo powstałym polskiem Skarbie Wojskowym, Zjazd nie wypowiedział się, polecił natomiast Zarządowi Zjednoczenia dokładne zapoznanie się z tą instytucyą.

Uważając za konieczne współdziałanie z innymi odłamami młodzieży niepodległościowej, XXVI zjazd „Zjednoczenia“ wyraził — i to zaszczyt mu przynosi — szczerą chęć zbliżenia się do nich w celu wytworzenia „wspólnych placówek pracy“. Dziś więcej niż kiedykolwiek powinniśmy dążyć do ujednostajnienia akcyi niepodległościowej. Tyle jest przecież platform, na których schodzić się możemy (oczywiście nie tracąc nic ze swych ideowych założeń), a przedewszystkiem konkretna idea Niepodległości.

Niestety widocznie nie wszystkie odłamy młodzieży niepodległościowej tak sądzą, skoro na IV zjeździe „Unii Stowarzyszeń Polskiej Młodzieży Postępowej Niepodległościowej“ odbytym w Zurychu również podczas Świąt uchwalono, iż „Zjazd Unii przeciwstawia się „Zjednoczeniu“ i uważa za konieczne zwalczanie tego kierunku ideowego“ — zarzucając mu, iż „wykazuje jeszcze nieraz dawne przyzwyczajenia narodowo-demokratyczne“ !! (sic !).

---

[1]) O Skarbie Narodowym por. artykuł Kol. Z. D. p. t. „Skarb Narodowy Polski“ w niniejszym numerze „Sprawy“.

Czy koledzy postępowo-niepodległościowi, stawiając podobny wniosek, przypuszczali, iż zdołają wmówić w kogoś to, w co sami z pewnością już nie wierzą? Byłoby to więcej, niż naiwne...

Na baczną uwagę zasługuje również uchwała w sprawie „Ogniwa“. Miało ono być „Sejmem Młodzieży Polskiej“ — miało skupiać całą młodzież. Wiemy, że tak nie jest. Czem jest „Ogniwo“ w rzeczywistości — trudno określić.

To też zjazd „Zjednoczenia“ słusznie zupełnie rozumując, że „dziesięć lat istnienta „Ogniwa“, pełne walki o prawo reprezentacyi ogółu młodzieży, pokazały mimo usiłowań czynników miarodajnych, iż niemożebnem jest zrealizowanie jedności Mł. Pol. łącząc w jedną organizacyę, tak towarzystwa humanitarne, kulturalne, jak i ideowo-polityczne różnych kierunków“, proponuje reformę obecnego „Ogniwa“, na Związek Towarzystw Młodzieży Narodowej.

Nie zapominajmy, że młodzież narodowa, jako całość nie ma swej reprezentacyi, (inaczej np. młodzież postępowo-niepodległościowa); konieczności takowej uzasadniać chyba nie trzeba.

Dopiero po zreformowaniu „Ogniwa“ w tym duchu, według opinii zjazdu, możnaby pomyśleć o wytworzeniu reprezentacyi ogółu młodzieży niepodległościowej.

Zjazd paryski powziął również uchwałę w sprawie Uniwersytetu ruskiego we Lwowie. Uchwały tej, bardzo ostro krytykowanej, nie można rzeczywiście zaliczyć do cennych zdobyczy ostatniego zjazdu „Zjednoczenia“. Zjazd żąda zabezpieczenie polskości Uniwersytetu Jana Kazimierza, oraz „wyraża szczere życzenie narodowi ruskiemu, aby w najbliższej przyszłości własny swój uniwersytet posiadł i w nim dla nauki, oraz dla wzniosłej idei unii wolnych z wolnymi pracował“.

* * *

Mówić o pracy wewnętrznej w „Zjednoczeniu“ Zagranicznem, sądzę, niema potrzeba. Dwadzieścia pięć lat wytrwałej, owocnej działalności, mówi samo za siebie. W roku ubiegłym, jakeśmy się ze sprawozdań dowiedzieli, również rąk nie opuszczano.

Być może, że nie wszystkie środowiska (n. p. francuskie) odpowiadały w zupełności wymaganiom, lecz są to rzeczy, niestety, nieuniknione. Nie można przytem zapominać, że obecnie życie ideowe młodzieży przenosi się coraz bardziej do kraju. Młodzież, wyjeżdżająca zagranicę poświęca się gorliwie nauce lub... nie zajmuje się niczem.

Na pracy ideowej, oczywiście, odbijać się to musi bardzo niekorzystnie. Pomimo to wszystko jednak, nawet najstronniejszy obserwator musi stwierdzić zupełnie pomyślny stan „Zjednoczenia“ Zagranicznego.

Jeszcze jedną bardzo ważną rzecz chciałbym na tem miejscu poruszyć. Zauważyć się mianowicie w „Zjednoczeniu“ daje wyraźnie coraz większe wyrobienie polityczne, stanowcze zwycięstwo instynktu politycznego. Jest to fakt niezmiernie dodatni.

Tem właśnie różni się „Zjednoczenie“ n. p. od takiego bezbarwnego „Ogniwa“. Omawiany przezemnie zjazd był dużym krokiem naprzód w rozwoju ideowo-politycznym „Zjednoczenia“ w duchu wybitnie radykalno-narodowym.

Kraków. *Tadeusz Malski.*



Z KSIĄŻEK.

Władysław Jabłonowski. **Dwie kultury.** Studya historyczne i literackie. Warszawa 1913.

Nieszczęściem Polski było jej położenie terytoryalne, a należy tu brać pod uwagę nietylko brak naturalnych granic, jaki narażał na ustawiczne zakusy sąsiadów, pragnących rozszerzyć swe posiadłości kosztem ziem polskich, lecz również wielce niepomyślną okoliczność stanowiska Polski w samem centrum ścierania się dwu wrogich sobie prądów społeczno-obyczajowych. Wystąpiwszy późno na widownię dziejową, z trudem, dzięki wytężonym, a zupełnie określonym i świadomym celu wysiłkom najrozumniejszych i najlepszych jednostek narodu, usiłowała Polska dotrzymać kroku rozwojowi kulturalnemu społeczeństw zachodnio-europejskich. I właśnie skutkiem fatalnych stosunków sąsiedzkich w dążeniach swych cywilizacyjnych nie mogła ograniczyć się jedynie wewnętrzną pracą nad sobą. Od zarania swych dziejów walczyć musiała Polska z wciskającymi się do jej organizmu pierwiastkami destrukcyjnymi, jakie płynęły ze wschodu. Póki wolna była i mniej lub więcej silna stawiała w walce o swą kulturę dość zwycięsko czoło wrogim tendencyom, zmiażdżona jednak politycznie patrzeć musi w znacznej mierze bezradnie, jak ustawicznie zalewa ją bezład i ciemnota, ucieleśnione w postaci Rosyi, od której dzieli ją cała przepaść odmiennych tradycyi, pojęć i pragnień. Pamiętać przytem musimy o innym jeszcze fakcie znaczenia pierwszorzędnego: wpływ wschodu nietylko hamował rozwój wewnętrzny Polski, lecz i oddziaływał ujemnie na nasze stanowisko międzynarodowe. Europa zachodnia widziała ciągle poza nami sfinksowe oblicze rosyjskiego kolosa, który cień swój rzucał na Polskę. Sąsiedztwo Rosyi sprawiło w niemałym stopniu, że jeszcze Lamartine w „Histoire des Girondins“ nie wahał się nas nazwać pogardliwie narodem azyatyckim. Oczywiście jest to fałsz, oparty na zupełnej nieznajomości duszy polskiej. Indywidualizm polski zestawiać można z wybujałą ambicyą i wichrzycielstwem szlachty włoskiej średniowiecza i renesansu, polskie poszanowanie godności człowieka tak bardzo blizkie jest dążnościom Anglików, walczących o habeas corpus — niema zaś w duszy polskiej nic ze wschodniego kwietyzmu, fatalizmu i korności wobec kańczuga. Przesiąkła Polska zachodnią kulturą, szczyciła się nią, uważała się zawsze za przedstawicielkę dorobku cywilzacyjnego Europy w przeciwstawieniu do wschodniego bar-

barzyństwa, zadanie swe „przedmurza chrześcijaństwa“ pojmując bynajmniej nie na tle jeno wyobrażeń religijnych. Próby n. p. stworzenia w XVI stuleciu „kościoła narodowego“ nie są oczywiście wyrazem chęci zerwania z kulturą zachodu, a jedynie z kuryą rzymską. Ożywiał je ten sam duch, jaki przenikał podówczas społeczeństwa zachodnie, na czele tych usiłowań stoją wybitni polscy humaniści. Świadczą one właśnie o poczuciu łączności z zachodem, są dowodem wspólności zainteresowań i dążeń. Słowianolilstwo nasze końca XVIII i początku XIX w. polega na dezoryentacyi politycznej. Nie może tu być mowy o uświadamianiu sobie jedności wszechsłowiańskiej, o przejęciu się nowemi hasłami społecznemi i moralnemi. Znajomość historyi, literatury, etnografii Słowian, zwłaszcza południowych, była minimalna. Usiłowano oprzeć się o Rosyę ze względów taktycznych, głównie pod wpływem okoliczności wytworzonych przez charakter polityki Aleksandra I.

Uprzytomnieniu sobie położenia Polski wobec wschodu i zachodu niemało sprzyja książka Wł. Jabłonowskiego. Nie daje nam ona obrazu Polski wobec walczących ze sobą czynników kulturalnych, zadaniem jej jest przyczynić się tylko do ich scharakteryzowania, czytelnik polski łatwo może jednak wysnuć sobie stąd wnioski i zaczerpnąć naukę. Będąc zbiorem „studyów historycznych i literackich“, ma przecie książka niniejsza znaczenie par excellence publicystyczne, rozprawami swemi pragnie autor zilustrować swą publicystyczną tezę, jaką jest myśl o konieczności powstrzymania społeczeństwa polskiego od poddania się rosyjskiej hegemonii duchowej. I przyznać należy, że wybór poruszanych tematów jak najlepiej odpowiada przeznaczeniu. Czy to mówiąc o poczuciu niższości, od jakiego nie są wolni bardzo nawet zagorzali czciciele Rosyi przy zetknięciu się z zachodem („Urok zachodu“), czy to stawiając nam przed oczy wizerunek ponurej duszy rosyjskiej, napróżno usiłującej pozbyć się dręczącej ją rozterki („W poszukiwaniu Boga“), czy to kreśląc dzieje działalności włoskiego patryoty o wielkiem sercu i żelaznej konsekwencyi („Kamil Benso Cavour“) — wszędzie każe nam autor pamiętać o swej myśli przewodniej, jasno nie sformułowonej, a przecie czującej się nieustannie między wierszami. Niewątliwa tendencya, kierująca piórem Jabłonowskiego, nie odbiera jednak wartości jego roztrząsaniom, przeprowadzonym wszędzie z sumiennością, przenikliwością i erudycyą. Usterki pewne, jakie zauważyć można w rozprawie „Dekabryści i ich stosunek do Polski“ (niezupełna dokładność w cytowaniu źródeł i nazwisk) są natury jedynie zewnętrznej, choć usunąć należałoby je może z pracy „historycznej“.

Walka dwuch kultur na naszym terenie trwa dalej, jest może obecnie nawet bardziej zacięta niż kiedykolwiek. Wpływy rosyjskie dają się stwierdzić w różnych przejawach naszego życia, a ze szczególną siłą występują w literaturze. „Urokowi wschodu“ ulegają nietylko snoby literackie, gotowe zachwycać się byle żonglerstwem w rodzaju „Życia człowieka“, lecz i istotni koryfeusze piśmiennictwa, jak np. Miciński i Berent. W takiej chwili staje Jabłonowski ze swoją książką, w szkicach swych stara się zobrazować dwa biegunowo przeciwne rodzaje ujęcia podstawowych zagadnień bytu i mówi nam: wybierajcie. Wybór nasz nie może chyba podlegać wątpliwości. *T. W.*

B. Jawnut. **Trzy zagadnienia ruchu niepodległościowego.**

Książka ta wyróżnia się dodatnio wśród współczesnej literatury niepodległościowej. Podczas gdy obecnie myśl niepodległościowa polska jest przeważnie zahypnotyzowana zatargiem rosyjsko-austryackim i wogóle zdradza wybitną dążność do rozpatrywania zagadnienia Niepodległości jedynie lub przeważnie z punktu widzenia tego lub innego układu stosunków międzynarodowych, a więc czegoś znajdującego się poza obrębem naszego oddziaływania, książka B. Jawnuta jest próbą ujęcia sprawy Niepodległości raczej od wewnątrz, z punktu widzenia czynników, tkwiących w samym narodzie polskim.

Owe „trzy zagadnienia“ są to 1) stosunek celów i środków w ruchu politycznym, 2) „warunki działania“, przez co autor rozumie tu jedynie rozwój stosunków w państwie rosyjskiem, 3) stosunek idei Niepodległości do wewnętrznych tendencyi rozwojowych społeczeństwa polskiego.

Autor rozpatruje przedewszystkiem znane zjawisko przekształcenia się środków na coś mającego wartość samo przez się, a nie ze względu na cel, któremu służyć mają. W ruchu narodowym ostatnich lat kilku zjawisko to przybrało niezwykle silne rozmiary. Organizowano się dla organizowania, łączono i skupiano dla skupiania. Organizacye powstawały, ale rzadko który z ich członków zdawał sobie sprawę czemu one służyć mają. Przy nadmiernym rozwoju środków, widać było ogromne ubóstwo w świecie celów politycznych. Przyczyn tego faktu autor doszukuje się bardzo głęboko — w podstawowych warunkach współczesnego życia połecznego, wytwarzającego wskutek swej ogromnej złożoności „pozaosobowy świat środków“ rozdzielający zamiar od celu. „Widzimy więc, że cechą współczesnego życia

jest rozkład świata celów, przeniesienie go w dziedziny zamglonych teoretycznych pojęć, pozbawionych wszelkiego związku z życiem". W dziedzinie zaś polityki polskiej objawem tego jest ów kult środków, organizacyi dla organizacyi. Sądzimy jednak, że dla wyjaśnienia tego zjawiska niema potrzeby uciekać się, aż do „złożoności życia współczesnego". Rozbudzenie aspiracyi politycznych u znacznej ilości ludzi wywołuje ów pęd do życia publicznego i organizowania się, zaś ubóstwo myśli politycznej nie pozwala na wykreślenie celów. Powstają wówczas takie idee jak jedności narodowej, rządu narodowego i t. d.; idee, które mogą być pożyteczne, jako środki prowadzące do pewnego celu, gdy wszakże jak to bywało, nic poza niemi niema, mamy wówczas do czynienia z zupełnem wyjałowieniem myśli politycznej.

Z tego punktu widzenia wydaje nam się, że zaniedbanie głównego celu — Niepodległości, ma swe źródło nie w nadmiernym rozroście „nadosobowego świata środków", ale w ubóstwie myśli politycznej, która nie była w stanie wskazać dróg, prowadzących do Niepodległości, przedewszystkiem zaś w oparciu się ruchu narodowo-demokratycznego na ugodowych warstwach społeczeństwa, co spowodowało zasadniczo niechętny stosunek względem polityki niepodległościowej.

Bardzo oryginalnymi są poglądy autora wypowiedziane w drugim rozdziale p. t. „Warunki działania". Bez przesady można powiedzieć, że pogląd autora jest poniekąd pokrewnym stanowisku lewicy P. P. S., jeśli chodzi o metodę ujmowania sprawy; uzasadnienia (politycznego oczywiście a nie ideowego) dążeń do Niepodległości autor doszukuje się między innymi w tendencyach rozwojowych państwa rosyjskiego. „Dzieje Rosyi to dzieje zaborów, dzieje rewolucyi, to dzieje stopniowego budzenia się do samodzielnego bytu anektowanych krajów i narodów, to stopniowe powstawanie coraz to nowych postulatów gospodarczych, kulturalnych i politycznych tych narodów". Tak więc rewolucya rosyjska jest zdaniem autora czynnikiem dążeń odśrodkowych podbitych przez Rosyę, czynnikiem rozpadania się państwa rosyjskiego.

Jest to pogląd niewątpliwie oryginalny, ale równocześnie nastręczający poważne wątpliwości. Ruchy rewolucyjne przeważnie bywają czynnikami centralizmu. Wielka rewolucya francuska doprowadziła do znacznie większej centralizacyi, aniżeli to mogli i chcieli uczynić królowie francuscy. Nie potrzeba zresztą sięgać tak daleko. Wbrew twierdzeniu autora, ostatnia rewolucya rosyjska miała charakter wybitnie dośrodkowy i centralistyczny. I nie

można tego kłaść jedynie na karb „inteligenta, szpiega i żyda“, w których autor widzi główne sprężyny rewolucyi rosyjskiej.

Nadzieja zreformowania państwa, polepszenia swego bytu w jego obrębie z natury rzeczy osłabia niechęć do niego, osłabia wogóle wszelkie dążności odłączenia się od tego państwa. Widzieliśmy w latach 1905—6 ogromne zbliżenie się społeczeństwa polskiego do państwowości rosyjskiej i narodu rosyjskiego. Idea Niepodległości zanikła zupełnie nawet wśród najbardziej niepodległościowych żywiołów. Oczywiście był to objaw nie sięgający zbyt głęboko. Decydującą rolę odgrywa tu bowiem ów czynnik odrębności terytoryalnej, powodujący odrębność interesów, i co za tem idzie, odrębność tendencyi politycznych. Ale jeśli czynnik ten ma olbrzymie znaczenie, to właśnie wbrew rewolucyi ogólno-państwowej, a w każdym razie niezależnie od niej. Są to dwie siły, ciążące w dwóch całkiem odrębnych kierunkach

Właściwym punktem wyjścia dla autora, podstawą na której opiera swój program niepodległościowy jest jednak wzmiankowany już wyżej czynnik odrębności interesów terytoryalno-gospodarczych. Wyłuszczone w dalszym ciągu poglądy autora, będące uzasadnieniem tej odrębności, są doskonałą odpowiedzią dla naszych naiwnych organiczników w stylu Nowaczyńskiego, którzy z piedestału swej „trzeźwości“ i „realizmu“ (?) Niepodległość rozpatrują nie jako jeden z fundamentów gmachu narodowego, ale jako pewnego rodzaju facyatkę, bez której gmach ten może stać mocno. „Zamyka się oczy na wiążący nas łańcuch polityki ekonomiczno-handlowej, ciągnącej nas za rydwanem państwowym, zadawalniając się twierdzeniem, że jak zechcemy, to nie będziemy zwracali uwagi na państwo i będziemy wtedy mogli robić, na co pozwolą „prawno-państwowe ramy“, „przedmiotowi gospodarstwa społecznego“. (Bukowiecki: Naród jako podmiot gospodarstwa społecznego). Wprawdzie życie zadaje kłam takiej „wyodrębnionej“ ekonomii, wprawdzie nasi rolnicy i przemysłowcy jeżdżą do Petersburga w sprawach „wyodrębnionego gospodarzenia“, wprawdzie nasi ekonomiści skarżą się na brak oryentującej statystyki dla naszych postulatów, wobec nieużyteczności i tendencyi państwowej statystyki, wprawdzie nasze kapitały utyskują na politykę kolejową ministeryum komunikacyi, lecz to nie przeszkadza, że w szerokich masach inteligencyi niema najmniejszego odczucia, iż w przyszłej rewolucyi nie będzie polskich postulatów politycznych i ekonomiczno-społecznych“ (str. 30).

Na tych przestankach, jak również na stwierdzeniu naszego rozrostu gospodarczego, autor opiera się, twierdząc, że „Restytucya i Demokracya, Restytucya z historyzmu wypływająca i De-

mokracya z rozwoju społeczeństwa, stwarzają postulat ludowego państwa". Otóż wydaje nam się, że jeśli chodzi o „demokracyę" to autor mimo niekiedy trafnych spostrzeżeń nie dotknął istoty zagadnienia. Wogóle jest to klątwą dotychczasowego ruchu narodowego, że kwestyę tę stale obchodzi on naokoło, niejednokrotnie daje trafne oświetlenie momentów wstępnych i drugorzędnych, natomiast okazuje jak gdyby obawę przed poruszeniem momentów zasadniczych. Coś podobnego widzimy u B. Jawnuta. Czyni on trafne spostrzeżenie, że po upadku dawnej Polski szlacheckiej otwiera się pole działania dla demokracyi polskiej. Gdy jednak przychodzi do uzasadnienia tego poglądu — czytelnik doznaje rozczarowania. Wydaje się, że autor nieledwie utożsamia rozwój naszej produkcyi rolnej i przemysłowej z demokracyą. Tymczasem zagadnienie demokracyi z ekonomicznego punktu widzenia, nie jest zagadnieniem produkcyi, lecz zagadnieniem podziału. Pogląd, że rozwój naszej produkcyi powoduje wzrost dążeń do utworzenia państwa polskiego, może być bardzo słuszny, ale co to wszystko ma wspólnego z demokracyą? Czy autor choć jednem słówkiem poruszył kwestyę podziału wyników tej produkcyi?

Mimo tych zarzutów, stwierdzić należy, iż, dzięki swej tendencyi do głębszego ujmowania sprawy Niepodległości, jak również dzięki oryginalnemu i trafnemu nieraz oświetleniu tego zagadnienia, książka B. Jawnuta pozostanie cennym dorobkiem literatury niepodległościowej.

I jeszcze jedno. Książka ta ma być jak gdyby wykładnikiem fizyonomii ideowo-politycznej ruchu zarzewiackiego. Tu nasuwa się porównanie z książką, która niegdyś i to w znacznie wyższym stopniu odgrywała podobną rolę — z książką Jana Brzozy. Zauważyć się daje ogromna i niewątpliwie dodatnia zmiana, jaka zaszła w metodach myślenia politycznego młodzieży zarzewiackiej. Książka B. Jawnuta odbija dodatnio swym zdrowym realistycznym sposobem myślenia od abstrakcyjnego ujmowania rzeczy u Jana Brzozy. Jakże daleko jesteśmy od „operowania pojęciami", od „konceptualizmu", od różnych „każdorazowych pomyśleń" i t. d. Ale zaznaczyć należy, że książka Jawnuta mimo swych niewątpliwych zalet i mimo wartości, jaką przedstawia dla myśli rewolucyjno-narodowej, z pewnością nie przyczyni się do nadania ruchowi zarzewiackiemu odrębnej fizyonomii ideowo-politycznej, dla tej prostej przyczyny, że nie wnosi wcale momentów, które mogłyby się stać wyłączną właściwością tego ruchu. *Es.*

KORESPONDENCYE.

Paryż.

Życie polskiej kolonii studenckiej w Paryżu posiada wiele charakterystycznych cech, które odźwierciadlają specyalne warunki pobytu w wielkiej stolicy; daje ono sporo ciekawego materyału do spostrzeżeń i nie omieszkam choćby pobieżnie czytelników „Sprawy“ z niem zapoznać. W niniejszej korespondencyi ograniczę się jedynie do podania kilku szczegółów z życia zewnętrznego polskiej młodzieży w Paryżu. A więc nieco o stronie politycznej. Procent młodzieży, grupującej się ideowo, jest niewielki.

Na 400—500 osób młodzieży polskiej (wszystkich wyznań), kształcących się w wyższych zakładach naukowych Paryża liczba stowarzyszonych dosięga zaledwie setki. Składa się na to wiele przyczyn. Rozległość Paryża, rozproszenie kolonii studenckiej, przejawiająca się od pewnego czasu niechęć do działalności politycznej, a nadewszystko liczne udogodnienia kulturalne (zarówno francuskie, jak polskie) wielkiej stolicy, pochłaniające wiele czasu.

Według zapatrywań ideowych mamy tu 3 ugrupowania: „Spójnię“, „Filarecyę“ i „Koło“.

Kilka słów o każdem z nich. „Spójnia“, która do niedość dawna odgrywała przeważającą rolę w kolonii, obecnie znajduje się w stanie zaniku i zapewne niedaleką jest chwila, kiedy będziemy mogli zaśpiewać jej radosne „requiem“. Instytucya ta ma długą, choć hałaśliwą tradycyę. Kto bowiem znał działalność tego Stowarzyszenia, komu wiadomem było, jakie doktrynerstwo, jakie rozkładowe pod względem narodowym i społecznym zasady w niej panowały — ten upadek podobnego Stowarzyszenia musi uważać za pocieszający objaw uzdrowotnienia stosunków wśród tutejszej młodzieży studenckiej.

Na gruzach „Spójni“ rozsiadła się „Filarecya“. Młode to, kilka lat zaledwie liczące ugrupowanie rozwija się w tempie szybkiem i pomyślnym, dzięki wniesieniu pierwiastka patryotycznego do poglądów kosmopolitycznego socyalizmu uprawianego przez „Związek P. M. P.“. Filarecya paryska do niedość dawna uzależniona była od „Spójni“, z którą licytowała się w socyaliźmie. Obecnie nastąpiło otrząśnienie się z tych wpływów. Zapewne, przyzwyczajenia dawne są bardzo zakorzenione, frazes i zaślepienie doktrynerskie jeszcze panoszą się.

Bądź co bądź, ożywcza selekcya zachodzi, nie brak jest jednostek głębiej na zadania pracy ideowej wśród młodzieży zapatrujących się — to też porozumienie się, a nawet współdziałanie tego Stowarzyszenia z „Kołem“ Zjednoczeniowem stało się możliwe. Stosunki naogół panują przyjazne i życzyć sobie należy, aby nadal takimi pozostawały.

A teraz kolej na „Koło“. Trudno mi jest, aby nie być posądzonym o stronność, pisać o towarzystwie, do którego mam zaszczyt należeć. Ograniczę się więc do kilku uwag.

Praca w „Kole“, jak zresztą wogóle praca „Zjednoczenia“, Tow. Mł. Pol. Zagr., nie polega na humbugowych efektach, na hałaśliwych wiecach, które dawały główny pokarm ideowy członkom ugrupowań „postępowych“; spokojniejsza, ciąglejsza, głębsze pozostawia ślady. Prócz pracy wewnętrznej, „Koło“ zajmuje się w miarę możności pracą oświatową wśród sfer rzemieślniczych, w lokalu własnym (43 rue Tournefort), utrzymuje czytelnię pism i bibliotekę. Mimochodem należy zanotować dla wiadomości ogólnej, że przy „Kole“ istnieje od szeregu już lat Centr. Komisya Naukowa „Zjednoczenia Mł. Pol. Zagr.“, która udziela informacyi o studyach na wyższych zakładach naukowych za granicą. Działalność „Koła“ posiada trwałe podstawy dla coraz pomyślniejszego rozwoju, to też towarzystwo nasze odzyskuje silne i wpływowe stanowisko w życiu tutejszej młodzieży polskiej.

Znaczna ilość młodzieży niestowarzyszonej grupuje się przy „Bratniej Pomocy“, „Samopomocy Pol. Mł. Akadem. w Paryżu“ i „Pol. Czytelni Akad.“. Ta ostatnia datuje się od roku zeszłego. Założona przez „Spójnię“ i „Filaracyę“ przekształciła się na ogólno-studencką i wyłącznie celom kulturalnym służy. O dwu innych stowarzyszeniach należy obszerniej pomówić, mają bowiem one związek z charakterystycznymi przejawami w obecnem życiu młodzieży polskiej.

Obok „Bratniej Pomocy“ od stycznia r. b. istnieje nowe stowarzyszenie tymże celom humanitarnym służące „Samopomoc P. Mł. Akad. w Paryżu“. Fakt powstania tego stowarzyszenia łączy się z rozłamem, jaki zaszedł w „Bratniej Pomocy“, znalazło się tam bowiem kilku „łamistrejków“. Z początkiem bieżącego roku szkolnego sprawa „łamistrejków“ znów na porządek dzienny wypłynęła, były długie, męczące dyskusye, gdzie zwalczały się dwie opinie: jedna utrzymująca, że bojkot szkolny jest kwestyą politycznych zapatrywań, a więc z charakterem „Bratniej Pom.“ nic wspólnego nie mający, druga, iż jest on moralnym nakazem, obowiązującym całą młodzież polską. W rezulta-

cie pierwsza strona zatryumfowała, uzyskując minimalną większość przy głosowaniu. Wniosek, aby Sąd koleżeński rozstrzygał o każdym fakcie wstąpienia łamistrejka do Stowarzyszenia, został odrzucony. Nastąpił rozłam. Ze strony młodzieży, stawiającej powyższy wniosek, było wiele gorączkowego pośpiechu, mało zaś planowej akcyi, która niewątpliwie w inną stronę przechyliłaby zwycięstwo — wobec jednak faktu dokonanego, dalsze pozostawanie w „Bratniej Pom.“ zwolenników bojkotu stało się niemożliwe. Zakrzątnieto się więc energicznie i utworzono nowe stowarzyszenie „Samopomoc Ak.“, które odrazu zyskało sobie uznanie i poparcie ogółu.

Sprawa ta nabrała rozgłosu, odbiła się donośnem echem w kolonii polskiej. Długi czas była ona przedmiotem sporów, roznamiętnień nietylko wśród młodzieży, lecz i starszego społeczeństwa. „Bratnia Pom.“ znalazła gorliwych opiekunów wśród sfer, które bojkot szkolny za odgłos przeszłości chcą uważać. W wypadkach opisanych niezawsze umiano utrzymać się na wysokości etycznej, licującej z powagą sporu o zasadę, znalazły się z obu stron jednostki, które dopuszczały się dziecinnych wybryków, rozjątrzając i tak już zaognione stosunki. Oliwy do ognia dolał Zarząd „Brat. Pom.“, wydając publiczną odezwę, niegodnie napadającą na b. członkow „Brat. Pom.“ i „Samopomoc“. Sprawa oparła się o Sąd obywatelski, złożony z wybitnych przedstawicieli społeczeństwa polskiego w Paryżu. Wyroku sądu oczekujemy lada dzień i oczywiście zainteresowanie jest niemałe.

Rozpisałem się nad tym faktem zbyt długo, ale stanowi on ciekawy przyczynek do obecnych stosunków wśród młodzieży, i to co zdarzyło się w Paryżu zajść może wkrótce i gdzieindziej. Rzeczą widoczną jest, iż ścierają się tu dwa prądy, z których jeden chce bojkot za wszelką cenę utrzymać, drugi zaś znieść. Symptomat zdaje się powszechny.

Kronikarski obowiązek zmusza mnie do zanotowania wiadomości o akademickim obchodzie 50-tej rocznicy powstania styczniowego, urządzonym przez „Filarecyę“ i „Koło“. Obchód, coprawda skromny, zaszczycony był przewodniczeniem p. W. Sieroszewskiego, oraz urozmaicony grą świetnej pianistki p-ny Eug. Galewskiej, zyskującej sobie coraz większe uznanie w Paryżu i śpiewem p. Stan. Rosmańskiego.

Wypadałoby nieco powiedzieć o stosunkach z młodzieżą francuską. Te są prawie żadne — ograniczają się jedynie do stosunków osobistych. Istnieje wprawdzie studenckie stowarzyszenie „Franco-slave“, mieszanina żywiołów francusko - słowiańskich; można wyobrazić sobie co za harmonia istnieje w tem towa-

rzystwie, gdzie się spotykają Czesi, Rosyanie, Rusini, Bułgarzy, Serbowie, Polacy i inni. Francuz ma wyborne pojęcie o „l'unité slac“ i wzajemności słowiańskiej — tem lepiej niech się przekona naocznie, ile wartości mają wszelkie chimery polityczne, nie liczące się z istotnym stanem rzeczy.

Naogół wziąwszy studenci francuscy nie lubią cudzoziemców. Dziwić się temu nie należy. Zakłady naukowe w Paryżu są wprost natłoczone przybyszami z różnych stron świata: Aryjczycy, Semici, żółci, czarni, czerwoni. Wszystko to stanowi piękną mozajkę każdej większej uczelni paryskiej. Wciskają się ci przybysze wszędzie do laboryatoryów, klinik, biliotek, a Francuz, przyzwyczajony do wszelkich udogodnień, nie lubi, gdy mu ktoś na drodze staje.

Dotyczas niechęć ta jest jeszcze utajona, ale kto wie, czy wkrótce studenci francuscy nie pójdą za przykładem niemieckich, żądając ograniczeń dla cudzoziemców. W pismach coraz silniej odzywają się utyskiwania, aczkolwiek pokryte zdawkową grzecznością o zaszczycie, jaki kulturze francuskiej wyświadczają przybysze. W roku zeszłym nawet taki „Temps“, organ ministeryum spraw zagranicznych, zabrał głos w tej sprawie, żądając obostrzeń dla cudzoziemców, składających egzamina państwowe, szczególniej z medycyny, liczba bowiem lekarzy cudzoziemców wzrasta w Paryżu coraz bardziej. Stosunek Francuzów do Polaków jest sympatyczniejszy, niż do innych cudzoziemców. Jednak łudzić się niema co, społeczeństwo francuskie dawne swe gorące uczucia dla Polski utraciło i jeżeli jeszcze tu i owdzie można spotkać się z sentymentalnem kiwnięciem głowy „oui, malheureux polonais“, to pochodzi to więcej z tradycyi, niż z prawdziwego uczucia.

Niedawno p. Sangnier, redaktor „La Démocrati“, gorący przyjaciel Polaków, chciał ożywić we Francyi sympatye dla Polski; urządził wielki wiec, na którym mówił o Polsce, „która nie chce umrzeć“. Na wiec ten zjawiło się trochę Francuzów, jeszcze więcej Polaków i innych cudzoziemców. P. S. rozżalił się nad losem naszym w Prusiech, napomknął coś niecoś o ucisku w Rosyi, a zakończył zwykłą francuską śpiewką, że idea humanitaryzmu zwyciężyć musi.

Z tego wszystkiego pozostało trochę uczucia i gorących słów dla Polski, natomiast silnie przebijała się zupełna nieznajomość naszych stosunków, w czem Francuzi celują.

Przymierze z Rosyą zrodziło w umysłowości francuskiej dziwne sympatye dla panslawizmu najczystszej krwi. O ile więc w sprawie prześladowań Polaków w Niemczech prasa francuska

często głos zabiera i z oburzeniem potępia gwałty pruskie, o tyle o takichże prześladowaniach w Rosyi milczenie panuje najzupełniejsze; często nawet spotkać się można z sarkaniem na niesłowiańskie stanowisko Polaków, na nieuzasadnione jakieś mrzonki przez nich żywione, „Surtout, messieurs, point des rêveries".

Dajmy jednak pokój polityce i kończmy.

W następnej korespondencyi omówimy nieco wewnętrzną stronę życia młodzieży polskiej w Paryżu.

cz.

„Dla Polski"

Czasopismo

Młodzieży Narodowej.

Wychodzi w Warszawie.

Pojedyńczy numer 30 groszy.

BRZASK

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

MIESIĘCZNIK.

Prenumerata kwartalna — 1 marka.

Pojedyńczy numer 50 fen.

Adres Administracyi:

Drukarnia Nakładowa Braci Winiewiczów

W Poznaniu, ulica Berlińska Nr. 5.

Skład główny:

w Księgarni M. Niemierkiewicza

w Poznaniu, pl. Wilhelmowski 3.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: *Tadeusz Dubiecki.*